



ROK LVIII

MISŁO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

NR 37

WARSZAWA, 12 WRZEŚNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Antagonizmy dzielnicowe — *H. C.* Rodzina jako czynnik wychowawczy i społeczny — *J. R.* Kształcenie kobiecości — *A. Pobożanka.* O narzeczeństwie moskiewskim Mickiewicza — *R. M. Blüth.* Świat kobiecy (c. d.) — *Marja Grossek-Korycka.* Z powodu dolarów (c. d.) — *Joseph Conrad (Józef Korzeniowski)* tłumaczyła *Teresa Tatarkiewiczowa.* Zatrzymany zegar (powieść) c. d. — *Wanda Młasażewska.* Piękna Pamela (c. d.) — *K. Bielańska.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z książek — *F. B.* Dzień w obozie żeńskim — *I. F.* Kartki z życia — *al.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Dwie ramki. Futra — *W.* Jak się bawiono za pierwszego cesarstwa? — *Spero.* Z dziedziny kosmetyki (dok.) — *Dr. J. Świtalska.* Wino jabłeczne — *Pani Elżbieta.* Warzenie miodu — *Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Nadesłane do redakcji. Dodatek [powieściowy „Naja Tripudians” (c. d.) — *Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*) Komunikat Biura Prasowego dla Spraw Kobiecych. ARKUSZ WZORÓW

ANTAGONIZMY DZIELNICOWE

Urodziły się z klątwy podziałów i nie oddaje dobrej usługi Polsce, kto je podsycy.

Jakaś niezręczna, czy lekkomyślna korespondencja, jakiś artykuł, naszpikowany „krakauearami” lub „warsawistami”, drobne codzienne szpilkowe ukłócia i oto waśń dzielnicowa znów ropyje, przechodzi w stan zapalny, osłabiając całkiem niepotrzebnie [organizm państwowy i zostawiając na przyszłość w duszach ludzkich toksynowe osady niechęci, uprzedzeń, żalów...

Na co? i po co?

Co za demony mącą „narodową kadh”, dobywając z głębi to, coby się tam w ciszy i spokoju przealembikować powinno na mocne wino nowożytnej polskiej psyche?!

Niewątpliwie, jesteśmy różni.

Włączenie do trzech różnych organizmów państwowych, poddanie trzem, a nawet czterem różnym prawodawstwom, wciągnięcie w sferę całkiem odrębnych interesów państwowych, zadań kulturalnych, ustrojów politycznych — nie mogło pozostać bez wpływu i znaczenia.

Były w nas przecież młoty różnych metod wynaradawiania; usiłowano nas giąć i przystosowywać w sposób najrozmaitszy. Czasem dana metoda powierzchownie tylko skaziła charakter narodowy, czasem dotarła aż do rdzenia narodowej jaźni, głębsze, bardziej zasadnicze wywołując zmiany.

Oddziaływania te nie zawsze dawały wyniki bezwzględnie dla nas ujemne. Wbrew intencjom czynników wrogich, obracały się one niekiedy, częściowo przynajmniej, na naszą korzyść. Walka codzienna np. wyrabiała hart, ograniczenia w pewnym kierunku zmuszały do wyładowania sił w innym i t. p. Ale wszystko to sprawiło, że Polska współczesna jest mozaiką typów psychicznych bardzo interesującą, choć może nieco trudną do rządzenia.

Bez gniewu i złośliwości, bez z góry powziętych uprzedzeń, z naukową bezstronnością i obywatelską dobrą wolą powinienby jakiś psychosocjolog przeanalizować to ciekawe zjawisko i na podstawie historycznych przeżyć wyjaśnić te czy inne cechy psychiczne, te czy inne zjawiska w życiu każdej dzielnicy. Wychowawcom narodu, jego kierownikom, jego rządcom i administratorom dałoby dzieło takie niezmiernie cenny materiał do przemysłu i sposobność do wyciągnięcia nawet praktycznych wskazówek. Wpłynęłoby też w znacznym stopniu na złagodzenie antagonizmów, przede wszystkim dlatego, że najwięcej razi, drażni i śmieszy każde zjawisko niezrozumiałe. „Zrozumieć—to przebaczyć”. Po wtóre, z przemyslenia tego okazałoby się może, że różnorodność ta nie ubóstwem jest, a bogactwem naszym, że kryje w sobie wielkie rozwojowe perspektywy i to przeświadczenie pozwoliłoby polakom z różnych zaborów z wzajemną pobłażliwością spo-

zierać na odmienności, braki, przerosty, niedorozwoje rodaków, nawet z większą tolerancją—na pył wynarodowienia, taką czy inną barwą koloryzujący daną dzielnicę.

Dotąd jednak nauki o Polsce współczesnej taką psychoanalizą nie dopełniono.

Szkoda wielka!

Tyle bowiem w każdej dzielnicy rysów ciekawych i charakterystycznych dojrzeć można, nawet nie będąc socjologiem i psychologiem, a tylko człowiekiem, o sprawach polskich myślącym nie dzielnicowo i nie dzielnicowo odczuwającym miłość Ojczyzny.

Wyraźnie n. p. rzuca się w oczy, że antagonizm między byłym zaborem austriackim a rosyjskim jest znacznie mniejszy, niż między b. zaborem niemieckim, a resztą Państwa. I temu też dziwić się nie należy. Galicja i Królestwo, a nawet te ziemie, które dziś w mowie potocznej zwiemy Kresami, żyły w ostatnich czasach przed wojną w bliskim ze sobą kontakcie. Przeżyły prawie wspólnie rok 63-ci, potem emigracja powstańcza, znalazłszy stały przytułek w Galicji, wniosła w jej życie niezatarte dotąd elementy... w latach późniejszych wyjazdy do uzdrowisk galicyjskich, na obchody i uroczystości narodowe, konspiracja oświatowo-propagandowa Królestwa, mająca swoje podstawy organizacyjne w Galicji, druga fala emigracyjna po r. 1905, egzodus młodzieży z zaboru rosyjskiego do Galicji w czasie bojkotu szkoły rosyjskiej, wspólna już praca nad organizacją drużyn i związków strzeleckich, stałe pochłanianie przez zabór rosyjski twórczości podwawelskiej: naukowej, literackiej, artystycznej — wszystko to były węzły, które sprawiły, że te dwa zabory czuły się zawsze nierozłączną jednością. To też, choć czasem w Królestwie lub na Kresach sarknie ktoś niekiedy na „austriackie“ porządki, albo z zawiścią wspomni o „doktorach“ galicyjskich, to jednak są to drobiazgi, i gdyby pewni dziennikarze nie rozdmuchiwali sztucznie niechęci, rzecz nie wychodziłaby z pewnością poza sferę komedjowych motywów, poza zakres takich prowincjonalnych uprzedzeń, jakie istnieją wszędzie, nawet w krajach, od wieków w jedność państwową sklejonych.

Inaczej trochę jest z b. zaborem pruskim. Przedewszystkiem stwierdzić trzeba, że nie stanowi on takiej organicznej całości, jak n. p. Królestwo Kongresowe. Między Wielkopolską a Pomorzem istnieje bardzo żywy rozdzźwięk. Dość wziąć do ręki gazety pomorskie, by się o tem przekonać. Par excellence rolnicza Wielkopolska nie rozumie potrzeb i dążeń par excellence robotniczego Śląska, a wszystkie razem nie lubią o, mocno nie lubią „Galicjaków z Kongresowy“, łącząc w tem wyrażeniu obie pozostałe, a bliżej z sobą zżyte dzielnice. Antagonizm ten ma swoje historyczne podstawy. Między Wielkopolską a Małopolską, która już za Piastowych czasów zdetronizowała starszą siostrzycę, antagonizm jest bardzo starej daty i czasem doprawdy jakieś echa tego żalu z przed stuleci chwyta wrażliwe ucho uważnego spostrzegacza.

Ale poza tem i w ostatnim półwieczu przed wojną, zabór niemiecki był silnie izolowany od reszty ziem polskich. Nie jeździło się do Poznania ani z Warszawy, ani z Krakowa, tem bardziej ze Lwowa lub Wilna, a i Poznań brał nieliczny udział w ogólnonarodowych zjazdach, wystawach i t. p.

I to im dalej — tem mniej było tego kontaktu, tem mniej i tu, i tam, widocznie, potrzebę tego kontaktu odczuwano.

Rok 63-ci już odbił się w zaborze pruskim bardzo słabem echem. Rok 1905 — żadnem. Robota niepodległościowa drużyniacko-strzelecka nie miała w zaborze pruskim żadnego prawie odpowiednika.

Zabór ten żył swoim własnem, odrębnem, w ciasne ramy ujętem życiem. Panujący w nim system ucisku sprzyjał wyrobieniu ideologii wybitnie drobnomieszczańskiej tak, jak i dopuszczał w wyższym niż gdzieindziej stopniu, wytworzenie się polskiego drobnomieszczaństwa. System ten zmuszał do codziennej, drobiazgowej walki o t. zw. stan posiadania polskiego, i w końcu wszystkie aspiracje narodu polskiego w tamtej dzielnicy do tej walki o posiadanie kawałka ziemi na wsi, a w miastach — sklepu, domu, cukierni i t. d. ograniczył. Wyrabiało to swoisty materializm życiowy, któremu patronował z góry, przesiąkający z uniwersytetów niemieckich, materializm filozoficzny. I zaszło tu zjawisko bardzo oryginalne. Materializmu filozoficznego społeczeństwo polskie w zaborze pruskim nie przyjęło, pozostając przy religijnych poglądach ojców i dziadów, stanowiących b-oń potężną w walce z niemczyzną, ale życie swoje nastawiło całkowicie w kierunku poglądów materialistycznych.

Ten to materializm życiowy, ideologia i cała wprost kultura drobnomieszczańska, narzucona wszystkim warstwom w Wielkopolsce i na Pomorzu — z wyjątkiem może najwyższych sfer ziemiaństwa i inteligencji — razi tak mocno małopolanina, wychowanego na idealistycznym romantyzmie wieszczów polskich i królewia, zapatrzonego z nieświadomym jemu samemu entuzjazmem, w „szeroką naturę“ Wschodu.

Razi polaka z innych dzielnic, że psyche polska w byłym zaborze pruskim jest tak mało lotna, i nieraz zadaje sobie pytanie, jak strasznym musiał być system, który tak skrzydlatego ptaka, jak duch polski, zdołał tak, pozornie beznadziejnie pozbawić siły lotu?!

Nie każdy, powierzchownie patrzący dojrzeć natomiast zdoła wielkie zalety duszy polskiej w tej dzielnicy, jej twardość n. p. (niezbyt może sympatyczną w stosunkach, ale w walce życiowej prowadzącą do celu) i płynące z kultury drobnomieszczańskiej — drobnomieszczańskie cnoty: rzetelność, oszczędność, systematyczność, punktualność.

Bez danych statystycznych w ręku z całą pewnością twierdzić można, że b. zabór pruski to prowincje Państwa, które oszczędzają najwięcej. Oszczędność — oczywiście nie tęgnie się na wyżynach; nie potrzeba do niej wielkich duchowych wzlotów,

ale jest potrzebna. Bez niej można upaść jako Państwo i zmarnieć jako naród.

Jeżeli zapytamy teraz, co razi mieszkańców b. zaboru pruskiego w rodakach z innych dzielnic, to odpowiedź na to będzie dość skomplikowana. Często razi ich rzeczy cenne, których wartości nie doceniają. A więc: obszerniejsze pole widzenia, subtelność myśli małopolanina, lub królewiaaka wychowanego w polskich szkołach i polskich uniwersytetach, odmiennosc kultury towarzyskiej, opartej raczej na szlacheckich niż na drobnomieszczańskich wzorach, lotność umysłu, większa wrażliwość i uczuciowość i t. d. Ze strony królewiaaka razi ich jego rzutkość, ekspansywność życiowa, werwa towarzyska, ale nade wszystko razi lekkomyślność i nieposzanowanie prawa.

To nieposzanowanie prawa, nieszczęsne—wiemy skąd się wzięło. Jeżeli któryś z uczonych niemieckich orzekł, że polacy są narodem „niezdolnym do życia — przespali wiek XIX — nie mają poszanowania prawa”—to orzeczenie to wyłącznie prawie stosować się może do polaków z b. zaboru rosyjskiego. Narzekanie na „austriacki biurokratyzm“ z tego płynie źródła. Z niego płyną także oszustwa podatkowe, dążność do załatwiania wszelkich trudności łapówką, wiara w skuteczność środków gwałtu w polityce i t. d. i t. d. Trucizna moskiewska, która głęboko zapuściła jad! Stąd płynie także opinia niektórych wielkopolan, że „w Warszawie sami złodzieje...”

Temat, podjęty przeze mnie, jest tak rozległy, że ani go wyczerpać, ani omówić w jednym artykule nie sposób.

Rzucam tylko kilka myśli w nadziei, że czytelnik zechce je snuć dalej i że z rozmyślań swoich wyprowadzi wnioski, zgodne z moimi. A mianowicie:

Różnorodność zjawisk życiowych i cech psychicznych w różnych dzielnicach Polski jest rzeczą dla współczesnego Państwa Polskiego pożyteczną,

gdyż braki jednej nadniarem swoim uzupełnia inna dzielnica. Tak np. bez łącznego zastępu rutynowanych urzędników b. Galicji nie dałaby się pomyśleć szybka organizacja administracji państwowej. Bez wyszkolonego po polsku nauczycielstwa z b. Galicji i b. Królestwa nie można byłoby uruchomić polskich szkół w zaborze pruskim i na Kresach. Bez rzutkiej i energicznej zawodowej inteligencji Królestwa (inżynierów techników i t. p.) nie dałoby się uruchomić przemysłu na Śląsku i w innych dzielnicach. Bez stanu robotniczego, który przeważnie wytwarzało b. Królestwo Kongresowe, nie mogłoby wogóle istnieć wielki przemysł. Bez drobnomieszczaństwa b. prowincji pruskich nie istniałby właściwie typ czysto polskiego miasta i miasteczka. Bez wielkich wzorowych warsztatów rolniczych Wielkopolski dość smutnie przedstawiałby się stan naszego rolnictwa i t. d... i t. d.

To samo w dziedzinie wartości czysto duchowych.

Czem byłaby nauka polska dziś bez długoletniej mozolnej pracy uniwersytetów i akademii małopolskich, czem literatura — bez Wyspiańskich i Malczewskich? czy dożyłaby momentu wielkiej wojny aspiracje do niepodległości, gdyby Warszawa nie była wiecznie skrwawionem ogniskiem buntu i protestującego przeciw bezprawiu—bezprawia?! Gdyby Podlasie nie żyło samem męczeństwem, a bory wileńskie nie szumiały dotąd echemi powstań?!

O, zaprawdę, Polska współczesna może być tematem niesłychanie ciekawych rozważań. Różnolita i różnobarwna w swej jedności, z tego samego najczęściej źródła czerpiąca wielkie cnoty i wielkie grzechy swoje, ma przed sobą kolosalne widoki rozwojowe, ale dostrzec je może tylko polak, który, ponad dzielnicowe antagonizmy wzniesiony, tem samem uczuciem wszystkie zabory i wszystkie ich dawne niedole i dzisiejsze bogactwa, i przyszłe perspektywy objąć potrafi, zrozumieć i ukołować.

Helena Ceysingerówna.

RODZINA JAKO CZYNNIK WYCHOWAWCZY I SPOŁECZNY



Organizacja rodziny związana jest z najgłębszym instynktownym dążeniem człowieka, jakim jest pęd życiowy do utrwalenia swego bytu w potomstwie, zapewnienie temu potomstwu warunków istnienia. Z chwilą gdy człowiek pierwotny ojął, iż „gdzie jest przeszłość, tam i przyszłość

być musi”, zaczął zbierać i łączyć już nie na dzień dzisiejszy tylko, lecz i na dalsze; nie dla siebie jedynie, lecz i dla istot, które do niego należą. „On z czasem utworzył zapas mienia, własność i rodzinę. Zapas, własność i rodzina! Wyrazy czarodziejskie, pełne tajemniczego znaczenia; pojęcia, które człowiek, jakby przeczuciem wiedziony, pierwsze w sobie rozbuździł, a które przecież tylko wiedza

i praca spłodzić mogły, które zatem są jego własnem dziełem”. (Supiński: „Myśl ogólna fizjologii wszechświata”. Pisma. T. I.)

Organizacja rodziny jest więc pierwszym, najpierwotniejszym zaczątkiem ładu społecznego, wynikiem niezłomnych praw przyrody i rozwoju ludzkiego; ona stała się zawiązkiem wszelkich dalszych ugrupowań społecznych, jak ród, plemię, związki, plemię; opie-

rała się na kulcie religijnym, na umowie społecznej, gdy ojciec rodu był zarazem najwyższym kapłanem, sędzią i wodzem.

Przy pierwotnej prostocie życia, ograniczonej do podstawowych potrzeb i zadań człowieka, rodzina stopniowo dostosowywała się do zmieniających się powolnie form życiowych. Zarazem wchłonęła w siebie i zorganizowała bardziej złożone pierwiastki życia społecznego—kult religijny, stosunki prawnospołeczne i ekonomiczne, stając się w pewnym okresie jednostką gospodarczą. W miarę jednak rozwoju i różnicowania się funkcji społecznych, część tych praw i zadań przeszła na państwo, kościół, związki i zrzeszenia; w rodzinie zaś punktem ciężkości stała się strona moralno-obyczajowa, wychowawcza i uczuciowa.

Już w najpierwotniejszej rodzinie, złożonej z dziecka i matki jako jedynej pewnej i naturalnej opiekuńki, zarysowuje się wyraźnie pierwiastek uczuciowy. „Miłość macierzyńska jest zatem pierwszym przebłyśkiem ducha w pierwotnej ciemności; przez miłość macierzyńską kształtują się pierwsze pojęcia moralne. Wzrost, łączący matkę z dzieckiem, był pierwszym uczuciowym stosunkiem w ludzkim plemieniu” (Lily Braun: „Historja rozwoju ruchu kobiecego”).

Odtąd rodzina, przeszedłszy wiele stopni rozwoju i osiągnąwszy wreszcie charakter rodziny monogamicznej i indywidualnej, staje się terenem kształcenia uczuć, tych istotnych motorów czynu. Jest ona najnaturalniejszym środowiskiem, gdzie poczucie obowiązków społecznych, religijnych i osobistych znajduje grunt podatny dla swego rozwoju. Wrodzone i rozwijane siłą rzeczy przywiązanie do rodziny w sposób naturalny popycha do czynów altruistycznych względem najbliższego otoczenia, do bliskiego współżycia, poświęcenia nawet—jednym słowem do miłości czynnej, wylanej i ofiarnej. Obowiązek względem otoczenia jest tu zarazem najgłębszą potrzebą serca. Zarazem jednak pewne przeciwstawienie potrzeb własnych i potrzeb otoczenia budzi poczucie konieczności podporządkowania się temu otoczeniu i stanowi grunt podatny do wyrobienia pojęcia o wzajemnej zależności i współdziałaniu. W miarę rozwoju jednostki i przebudzenia się uczuć społecznych, rozwijają się one na gruncie solidarności rodzinnej w coraz szerzej i głębiej pojmowaną miłość społeczeństwa i ludzkości.

Stąd w życiu rodzinnym, prawdziwie i głęboko pojętem, znajdujemy jedyną drogę do pogodzenia

dążeń indywidualnych z obowiązkami społecznymi, jedyną możliwość zażegnania konfliktu między pragnieniami osobistymi a względami dla innych.

Atmosfera domu rodzinnego daje dziecku zasadniczy ton duchowy. Idee, tam panujące, o ile przejawiają się w czynach—nie w słowie, zaszczepiają mu pewne wyobrażenia i zasady, z którymi pójdzie w życie; wtedy z całej powodzi zjawisk i zdarzeń je otaczających, przyjmie ono i przyswoi te tylko, które znajdą odpowiedni oddźwięk we wrażeniach i obrazach, wypełniających jego dzieciństwo i młodość, spędzone w domu rodzinnym. Jeśli wychowanie rodzinne rozwinięło w dziecku miłość Boga i ludzi, zaszczepiło mu zamiłowanie cnoty i poczucie piękna, nauczyło prawdy i prostoty w postępowaniu a karności w działaniu, wpoilo postulat surowości dla siebie, a wyrozumiałości dla innych—to można być pewnym, że idee te staną się tarczą obronną przeciwko wszystkiemu, co niskie, małe i występne, że choć zachwieje się ono i może upadnie, to jednak podniesie się i zaczerpnie siły do odrodzenia w źródle zaszczepionych przez wychowanie rodzinne uczuć i wierzeń.

Widzimy więc, że tylko w rodzinie dokonywać się może praca nad ciągłym udoskonaleniem typu człowieka przez coraz głębszą, dalej sięgającą kulturę uczuć. Jedynie rodzina może i powinna być szkołą miłości; ale aby to zadanie spełniła, pobudką jej powstania musi być czyste uczucie dwójga ludzi; wtedy przez oparcie się na ten żywy źródło miłości rodzinnej doprowadzić ona musi wychowawcą poprzez religię, wiedzę, sztukę do takiej miłości Boga, człowieka, ojczyzny, ażeby, według słów Witkiewicza, „bez żadnych wyrozumowanych motywów porywał się do czynów poświęcenia, samoofiary, bezwzględnie oddania się dobru i chwale umiłowanego przedmiotu”. Wtedy spełni on nie tylko obowiązek, lecz osiągnie szczęście osobiste, „ponieważ szczęście, płynące z samoofiary miłości, jest ponad wszystkim”. (j. w.)

Z punktu widzenia społeczno-rodowego rodzina jest jedynym miejscem wzajemnego oddziaływania na siebie dwóch następujących po sobie pokoleń. Rodzice, pracując z dziećmi i dla dzieci, wchłaniają w siebie pierwiastki nowego, idącego naprzód życia, zaszczepiając zarazem młodzieży pewne, niezniszczalne wartości tradycyjne przeszłości—w ten sposób przeszłość zazębia się o teraźniejszość

i tworzy przyszłość; w ten jedynie sposób zapobiega się rozłamowi wśród starszego i młodszego pokolenia i tworzy się ciągłość życia i tradycji rodzinnej, a przez to i narodowej.

Wszelkie dążenia do osłabienia znaczenia rodziny, podejmowane zarówno w starożytności, jak i w dobie obecnej, oparte były, jak się okazało, na powierzchownym jeno doktrynerstwie. Trudno bowiem zważyć budowę, której fundamenty tkwią w najistotniejszych podstawach bytu, która w najgłębszej swej treści związana jest nierozwalnie z jedyną racją istnienia człowieka na ziemi, z jego twórczym pędem, rozmachem życiowym, niezniszczalnym pierwiastkiem ruchu i dążenia do coraz doskonalszych form dla wcielonego weń Boskiego Ducha.

Dziś jednak ludzie tak daleko odbiegli od właściwego odczucia i pojmowania praw natury, tak zatracili zdrowy instynkt życiowy, iż rodzina zdaje się być czasem instytucją sztuczną zgoła, przeciwną nawet potrzebom i prawom jednostki; stąd uzasadnione nieraz pozornie dążenia do zerwania jej spoiwości i przekazania jej funkcji państwu. Prawdziwe jednak wnikięcie w istotę rzeczy wskaże nam, iż przyczyna tego upadku nie leży w samej instytucji, lecz w zwyrodnieniu instynktu ludzkiego, że wynika on z wprowadzenia do tej budowy tysięcy pierwiastków sztucznych, obcych jej i wrogich.

Praca nad moralnym odrodzeniem ludzkości, prawdziwa praca u podstaw, winna przedewszystkiem dążyć do oczyszczenia i podniesienia rodziny, do przywrócenia jej tego mistycznego niemal charakteru, jaki towarzyszył jej powstaniu u kolebki rodu ludzkiego.

Rozpatrując historję rodziny w ciągu wieków, musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę, o ile odchyłała się ona od spełniania swej roli społeczno-wychowawczej, o ile zaś urzeczywistniała zadania, związane z jej charakterem organizacji, rozwijającej charakter, kształcącej uczucia, utrzymującej najwyższe ideały i tradycje narodu i ludzkości.

Najdawniejszą formą rodziny, którą odtworzyć mogły badania naukowe, była rodzina, oparta na prawie macierzystym, nie mająca przytem charakteru rodziny indywidualnej, wskutek panującego obyczaju wielożeństwa, a nawet w niektórych epokach wielomęstwa. Stopniowo, wskutek zmian i przewrotów, związanych ze wzrostem własności i prawem dziedziczenia, zapanowało na miejsce prawa ma-

cierzystego prawo ojcowskie (ustrój patriarchalny); rodzina niejako skryształizowała się i zorganizowała jako ród (u Rzymian „gens”), obejmujący wszystkich członków, pochodzących od jednego przodka męskiego i znajdujący się pod władzą głowy rodziny. Rody te stanowiły już silną, zwartą organizację, której ślady dochowały się do tychczas nie tylko wśród ludów, będących w stanie barbarzyństwa, lecz nawet w Europie u Słowian południowych i wschodnich jako organizacja patriarchalnych gmin domowych.

U ludów starożytnych — w Indjach Wschodnich, w Grecji i Rzymie, znajdujemy typową organizację rodziny, opartą na ustroju monogamicznym i tworzącą ród (gens) t. j. grupę ludzi, pochodzących od jednego przodka, związanych wspól-

nością nazwiska, kultu religijnego, czci przodków, wspólnością domowego ogniska, przy którym odbywały się tej tylko rodzinie właściwe i wiadome obrzędy i ceremonie na cześć bogów i zmarłych przodków, będących symbolem najwyższych ideałów. Surowa i podniosła organizacja takiej rodziny, zwłaszcza rzymskiej, jej cześć dla nieskażonej czystości ogniska rodzinnego, dla nieskażonej pamięci przodków, była znakomitą szkołą wszystkich cnót obywatelskich i osobistych; połączenie tych pierwiastków z silną władzą ojca rodziny, będącego zarazem symbolem najwyższej moralności, dała nam te wzniosłe typy rzymskie, pełne hartu i niezłomnej cnoty. W samym jednak swych zarodku posiadała ta organizacja pewne cechy, które doprowadziły do jej

rozkładu i upadku, mianowicie — niezmierną wyłączność i egoizm rodzinny; z chwilą osłabienia wiary w bogów przenikać do niej zaczęło skażenie obyczajów, które nie znalazło na swej drodze żadnego hamulca; podrzędne stanowisko kobiety w rodzinie starożytnej nie dało jej możliwości stanięcia na straży całości rodziny. Jednocześnie coraz silniej rozwijająca się idea państwa rozbiła jednostkę rodową, będącą dotychczas jak gdyby państwem samem w sobie. Rodzina starożytna uległa zupełnemu rozprzężeniu i upadkowi.

Chrześcijaństwo, podnosząc godność kobiety, matki rodziny, uświęcając małżeństwo, nadało rodzinie zgoła odmienny charakter, oczyściło ją z egoizmu, podniosło obyczajowo.

(c. d. n.)

J. R.

KSZTAŁCENIE KOBIECOŚCI

(Z powodu art. L. Konopackiego „Kształcenie kobiecości”).

Artykuł p. L. Konopackiego poruszył jedną z najżywoźniejszych kwestii dla nas kobiet.

Według mnie, słowo „kobiecość” zamyka bardzo wiele: to nie tylko intuicja i wdzięk (por. art. p. L. Konopackiego), ale cały szereg zharmonizowany pierwiastków. Niektóre z nich są tak drobne, że prawie trudno je zdefiniować, wyczuwa się je tylko, ale w sumie dają to, że patrząc na szczęśliwą ich posiadaczkę, nie tylko doznajemy bardzo miłego ogólnego wrażenia, ale możemy posunąć się do wniosku: ta kobieta jest — lub będzie — dobrą żoną, matką, siostrą.

Wnoszenie z sobą, gdziekolwiekby się było, ładu, spokoju, harmonii, opanowanie wreszcie równowagi wewnętrznej, intuicja, wdzięk, serce, rozum — nie chcę bynajmniej wyliczać wszystkich składników kobiecości; jak już wspomniałam, kobiecość składa się z bardzo wielu pierwiastków, stopionych w harmonijną jedność.

„Kobieta albo jest kobietą, albo nią nie jest”, tertium non datur.

Bo właściwie czyż te typy, zwane „kobieciatkami” i „feministkami”, nie stoją równie daleko od ideału, jaki pragniemy mieć w kobiecie. I jeżeli odsuwamy jako jakiś typ pośredni „wynaturzonej” feministki, te naśladowczynie mężczyzny o ruchach kanciasłych, twarde, z papierosem w zębach „nie-

kobiety”, czyż tak samo nie powinny być potraktowane te „powoje”, „puchy marne”, wymalowane, rozdancingowane, które zawsze na kimś muszą się wspierać, komuś być ciężarem.

W tej chwili u nas typ feministki zanika.

O wiele niebezpieczniejszy i szkodliwszy społecznie typ kobieciątek raczej się rozszerza; dość przejść się po biurach, wyższych uczelniach a nawet pensjach: modna fryzurka „à la garçon” lub coś podobnego pokrywa ptasi mózdek, a w umalowanych na gorącą czerwień usteczkach papieros.

Jakie to dalekie od kobiety Krakowowej, „co myśli porządnie i serce ma czyste!”

Powiedziałam, że ten typ jest szkodliwy, bo ma on, mówiąc językiem ekonomistów, „popyt” wśród mężczyzny — więc się i jego „podaż” zwiększa.

A czyż taka „dancingowa” panienka podoła obowiązkom żony i matki? Wcale się nad nimi nie zastanawia. Zakochanie, ślub, rozczarowanie, rozwód — wszystko w tempie kinematografu.

Grają rolę zmysły i prawie nic więcej.

Kobiecość, prawdziwa kobiecość, jest gdzieś zagubiona.

Już Klementyna Hoffmanowa, występując przeciw ówczesnemu prądowi, który kazał chować dziew-

częta w całkowitej nieświadomości, radziła przez wychowanie należycie je przygotować do oczekujących trudnych i odpowiedzialnych obowiązków żony i matki.

Żeby być buchalterką, prawniczką i t. p., trzeba dobrze się uczyć, zdać gromadę egzaminów, aby spełnić jeden z najważniejszych obowiązków ma wystarczyć intuicja i parę broszurek?

Pozwolę sobie na dygresję: kiedyś, wychodząc z wykładu hodowli zwierząt, gdzie profesor przez 2 godziny kładł nam w głowę, jak winny być pojone cielęta, bo wychów cieląt... poprawa rasy... i t. d., mówi do mnie jeden z kolegów: „Pielęgnować prosiaki, żrebaki, cielaki to nas może i nauczą, ale czy kiedy będą wykladać, jak należy chować człowieka?”

W obecnych warunkach kobieta musi ciężko pracować, nie tylko bowiem ma obowiązki żony, matki, siostry.

Tak, lecz chodzi o to, co najważniejsze.

Jeśli mężczyzna, powiedzmy, przechodzi przeszkolenie wojskowe, by każdej chwili być gotowym do spełnienia obowiązku, tak samo kobieta powinna być do swej roli przygotowaną, a rozwinięcie w niej przez wychowanie i uświadomienie zaszczytnej roli — istotnej kobiecości — nie przeszkodzi jej w spełnianiu innych obowiązków.

Zresztą, powinna je mieć i wypełniać, bo we współczesnym społeczeństwie nie powinno być miejsca dla nierobów, a typ „panienki, czekającej na męża”, chyba już całkiem przechodzi na własność muzealną.

Kobieta w tej chwili musi pracować... więc tem więcej chodzi o to, by jej starczyło skarbów kobiecości na ogrzanie domowego ogniska, by nic nie uroniła na drodze swej pracy zawodowej.

Niech nauka wzmoże jej umysł, niech ma w ręku fachu i możliwość niezależnej pracy, niech sport daje

jej zdrowie i siły — lecz przede wszystkim niech umiejętnie wychowanie rozwinie w niej te wszystkie pierwiastki, które jej pozwolą być jasnym płomykiem rodziców, dobrą koleżanką i współtowarzyszką w pracy, stróżką prawdziwą domowego ogniska.

Wróżką—Robi—zwano dawnymi czasy kobietę słowiańską, darząc ją wiarą w moc nadprzyrodzoną, czyniąc z niej świętą kapłankę ogniska domowego.

W posłuchu chyłono czoła i oceniono jako skarb bez ceny rycerskie białogłowy, co strzegły domu

i mienia w ciężkiej, znoonej pracy, gdy mężowie walczyli na rubieżach Rzeczypospolitej. Kobiętom powierzono w czasie niewoli wychowanie młodych pokoleń — i kobieta polska zawsze swym zadaniom podołała, a w najcięższej pracy nie zatraciła wdzięku i czaru.

Współczesna kobieta wyszła z cienia na szerszą arenę; chodzi o to, by w tej walce o byt, w tym wyścigu z zaciśniętym domowego nie zatraciła się, nie przestała być sobą — kobietą-człowiekiem i była zawsze tem „świętem ogniwem, które ziemię z niebem sprzęga”. A. Pobożanka.

O NARZECZEŃSTWIE MOSKIEWSKIEM MICKIEWICZA

(Dokończenie)



czony poeta rosyjski zalicza Pawłową, stojącą na uboczu szkół (plejad) Puszkina i Lermontowa, do rzędu równocennych poetów z Kolcowem, Niekrasowem, Mejem i t. p. czyli do wartości drugorzędowych, tuż po Puszkinie i Lermontowie. Podkreśla siłę w wierszach Pawłowej, „siłą nie kobiecą”¹⁾

Według autora notatki nekrologu z „Nowago Wremieni”²⁾, poetka przestała drukować swe wiersze w końcu lat 1850-60. Cytowane więc tłumaczenie „Budrysów” Mickiewicza byłoby wyjątkiem, charakterystycznym.³⁾

Powiedzieliśmy, że twórczość eks-Jaenischówny stanowić może potwierdzenie prawdziwości zdania, wypowiedzianego synowi Mickiewicza o stałej i trwałej miłości dla ojca.

Leży przede mną skromnie wydany zbiorek poezji z 1863 roku.

Gdy przeczytałem cały — uderzony zostałem pewnym leit motiwem. Jest nim powrót do jednego i tego samego młodzieńczego przeżycia — przeżycia pierwszej miłości — wznioślejszej, idealnej.

Chyba jednym z piękniejszych jest wiersz p. t. „10 listopada 1810”.

Treścią wiersza — zapewnienie tego, co ją porzucił, że go nigdy nie zapomni.

„Ty wspomnieli, jak ja przy szumie bał
Bezmyślnie nazwałaś twojej.

W wierszu — odpowiedzi Jazykowi — czytamy:

Priwietstwowana wnow' poetem,
Była ja, jak w mojej wiosnie.

Oto znowu wiersz z 1843, „Duma” (rodzaj elegji):

Wczera listy izorwannago toma
Popaliś mnie — na nich wzgłianuła ja.
Zabytoje szepnuło wdrug znakomo
I wspomniłaś mnie wsia wiosna moja.

I mnie blesnuł, skwoź liet prożitych tieni,
Rebiaczieskij, wielikoliepnyj mir.
Blesnuli dni wysokich ubieždienij
I pierwyj moj, niezdiesznij moj kumir.

Wiersz inny z 1848.

Iz pod chołodnago pokrowa
Użel wstajët niemaja tień?
Użeli ja — tiepier' gotowa
Czez dwadca' liet zapłakat' snowa,
Kak w tot wiosniennij, grustnyj dzień?

Biedna, niegdyś porzucona przez „niezdieszniago kumira” (bożyszczce

¹⁾ K. D. Balmont „Gornija wiersziny” Moskwa 1909 „Gryf” str. 74.

Ostatnio kilka poezji Pawłowej znajdujemy w wydawnictwie emigracyjnym „Ruskij Parnas” Insel-Verlag Leipzig 1923, str. 126-129.

²⁾ „Nowoje Wremia” 1893 № 6386 og. zb.

³⁾ Tłumaczenie nosiło charakterystyczny tytuł:

„Feuilleton der Deutschen Roman-Zeitung „Drei Budrissen” übersetzt von Karoline von Pawloff in 81 Jahre Ihrer Lebens”. Musiało chyba tłumaczące zależeć na podkreśleniu swego wieku — by w ten sposób zadokumentować niejako trwałość pamięci o Mickiewiczu.

nietutejsze) — nie zaznała szczęścia w małżeństwie. Pawłow, zdolny inteligentny, może nawet nie najgorszy człowiek — posiadał pasję gry w karty. Gdy majątek w ten sposób został tracony, teść prof. Jaenisch, chyba za wiedzą nieszczęśliwej żony, wszczął proces o separację. Pawłow bowiem, przyłapany na jakiejś szulerce, został uwięziony, a potem zesłany do Permy. Nie pomogło wstawiennictwo przyjaciół Słowianofiłów. W 1853 Pawłowa z chłopcem wyjeżdża z Rosji. Osiedla się... w Dreźnie. Stamtąd podróżuje do Paryża i... Konstantynopola. Wiersze z okresu po 1853 zawierają nutę religijnej rezygnacji.

O byłom, o pogibszem, o starom
Myśl niemaja dusze tiazela,
Mnogo w żizni ja wstrietiła zła.
Mnogo czuwstw ja istratiła darom,
Mnogo żertwnie wpopad pri-niesła.

Jeszcze jeden przytoczymy wyjątek.

Chotia ustałaja, doszła ja
Do polputi
I legcze, ciel už poznawaja,
Wpier edl idi.

Idu ja mirnoju rawninoj,
Moj poldien tich,
Ostałsia gołos lisz jedinyj
Wremien drugich.

...I straniej etot mnie upornyj
Naprasnyj bred.

W oświadczeniu staruszki osiemdziesięcioletniej nic nie było ze starczej marzycielskości. Mówiła prawdę. Kochała Mickiewicza przez życie całe.

Na zakończenie powrócimy do Jego życia, do nowych prób narzeczeńskich. „Ptak przelotny” (por. wiersz w imienniku Jaenischówny) lat jeszcze kilka tułał się bez gniazda. Przyszły dni rzymskie, nowa próba narzeczeństwa, teraz już nieudana nie z Jego winy.

Przyszła katastrofa 1831. A wraz z nią nowe obniżenie lotu w lasach poznańskich — tem bolesniejsze, przy analizie późniejszej, że odbywające się tuż przed granicą krwawiącej ojczyzny.

A potem... nowy rachunek sumienia w Dreźnie. ¹⁾ I nowe postanowienie, podobne do tamtego moskiewskiego.

Dziwne to były zaręczyny — te listowne zaręczyny z Celiną Szymanowską. Już teraz poeta nie czeka nawet na silniejsze uczucie. Wystarczy mu przypomnienie, że w Petersburgu istnieje dziewczyna, która, dzieckiem będąc prawie, dała mu poznać, że go kocha silnie.

Małżeństwo Mickiewicza jest faktem, jaskrawo odcinającym się na tle romantycznego mitu o miłości zaświatowej.

Cóż dziwnego — był to przecież czyn najrealniejszego z romantyków czyn, może ryzykowny, przesadnie „rozumny” — ale szczerzy i głęboko moralny.

Pewne światło na tę dziwną małżeńską sprawę rzucają listy z tego czasu. Sądźmy, że listy zarazem służyć mogą jako pewnego rodzaju komentarz i dla tamtego moskiewskiego narzeczeństwa... 21 lipca 1834 r. pisze do Odyńca.

„Oto krótko i węzłowato: ²⁾ żenię się z Celiną. Wiele byłoby jeszcze pisać, jak w tych czasach byłem smutny i ciężar życia bardzo mię dusił. Obaczmy, czy będzie źlej, czy jeszcze ciężej”.

27 lipca pisze o tem samem do Hieronima Kajsiewicza.

„Żona moja, Celina Szymanowska, jest córką znanej artystki. Lubiłem ją niegdyś jako dziecko —

¹⁾ Porównaj szkic mój: „Psychogeneza snu w Dreźnie”. Przegląd Współczesny 1925-czerwiec.

²⁾ Znamienne są te słowa: „krótko i węzłowato”; przypomnamy, że w liście do Daszkiewicza były one wymieniane. W ten sposób określa Mickiewicz ostateczny chyba wynik długotrwałych rozważań, wahań.

dobre, żywe i wesołe. Rozstaliśmy się, nie przeczuwając, ani przewidyując, że się kiedyś spotkamy. Celina utraciła rodziców; moje ożenienie z inną osobą do skutku nie przyszło. Przypomnieliśmy dawną, długą znajomość, przyjechała do mnie i zaraz poszliśmy do ołtarza”.

A dalej taki śliczny do słów tych komentarz:

„Miesiące wiosenne przeszły mi bardzo smutnie: cierpiałem splin i miałem często osobistych bied niemało. Teraz dobrze mi; nie wiem czy na długo. Postanowiłem był tego roku zdecydować ostatecznie, czy mam się ożenić, czy na zawsze bezżennym zostać.

Obrałem łatwiejsze, bo do trudniejszego (czystości... przyp. nasz) nie czułem w sobie dosyć siły i lękałem się niebezpieczeństw, które nie zawsze udawało mi się zwalczać”.

Wiele przemawia za tem, że to, co poprzedzało decyzję 1834 r., bliźniaczo było podobne do stanów, przeżywanych w 1826 — oto dlaczego list do Kajsiewicza może chyba służyć zarazem za komentarz do małżeństwa 1834 jako też i narzeczeństwa moskiewskiego.

R. M. Blüth

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

15

Naturą mężczyzny jest egocentryzm.

Naturą kobiety altrocentryzm.

Mężczyzna jest skończonym, w sobie zamkniętym światem, który sam w sobie ma cele swe i przyczyny — sam sobie więc wystarcza. Mężczyzna żyje przez siebie i dla siebie.

I nawet, gdy kocha, dla siebie kocha.

Rządzoną nim sprężyną jest egoizm.

Kobieca natura wyrzuca z siebie na zewnątrz ośrodki swego uczucia — umieszcza je w drugiej istocie, przez którą, w której i dla której żyje...

Cieszy się jej szczęściem, umiera od jej cierpienia; samoniewystarczalna, sama przez siebie i sama dla siebie niezadowolona, żyć i działać może tylko

Kobieta więc tak koniecznie i naturalnie poświęca się, jak mężczyzna jest egoistą.

Analiza ta, która należy do Giny Lombroso, nie jest dokładną.

To prawda, że kobieta jest altrocentrystką.

Ale jest altrocentryzm ofiarny, altruistyczny.

Jest altrocentryzm zachłanny, pożerczy, egoistyczny.

Jest altrocentryzm, który dlatego zaczyna się o drugą istotę, że chce jej dawać wszystko z siebie, całego siebie, by żyć w niej i dla niej.

Ale jest drugi altrocentryzm, który robi to samo zaczepienie się o drugą istotę, ale z powodów wręcz przeciwnych.

Chce brać z tej drugiej istoty wszystko dla siebie: jej energię, inicjatywę, wszystkie potencje, w które sam jest ubogi — samoniew-

wystarczalny, nie potrafi żyć sam o własnej sile.

Tak tramwaj dlatego jedzie i świeci, że po drutach spływa w niego z zewnątrz energia, produkowana przez dynamo, elektryczną maszynę. Tramwaj jest też altrocentrystą.

Altrocentrystami są te pnące, których korzenie zapuszczają się pod korę drzewa, by żyć jego sokiem.

Kobiety są altrocentryстки pierwszego i drugiego typu.

Dlatego formułę Giny Lombroso trzeba poprawić.

Kobieta jest zawsze altrocentrystką i żyje zawsze miłością, ale nie zawsze żyje poświęceniem, gdyż nie każda miłość jest poświęceniem i nie każdy altrocentryzm jest altruizmem.

Jeżeli chcemy się przekonać, w kim natura jest lepsza: w mężczyźnie czy w kobiecie—przyjrzymy się jej u źródła: porównajmy chłopców i dziewczynki. Chłopiec jest to dziki Indianin! Największą dla niego uciechą dręczyć zwierzęta, pastwić się nad słabowitym kolegą i dobrodusznym lub zdenerwowanym nauczycielem. Nauka obchodzi go o tyle, o ile obiecuje mu w przyszłości pieniądze—pamięta o tem nawet uczeń pierwszej klasy. Dziewczynki, ta zwłaszcza, która się wychowuje w szlachetnym, inteligentnym domu, jest to zjawisko prześliczne! Z jakimż wdziękiem słodczy i przenikliwości oddaje drobne usługi rodzicom, opiekuje się młodszym rodzeństwem. W każdym jej znalezieniu się ile kultury! jaka jest czynna!... jak z usposobienia skwapliwa do poświęceń! Nie lubi grać, dajmy na to, ale ponieważ gorąco życzy sobie tego ojciec, będzie się ćwiczyć na fortepianie codzień po kilka godzin. Będzie się przykładła do matematyki, gdyż kocha nauczycielkę, która ją wykłada. Wyławne serce szuka duchowych powinowactw wśród swoich rówieśnic, zawiera tkliwe przyjaźnie.

Oto dwie przyjaciółeczki, opasawszy się w pół ramieniem i przytuliwszy się głowami, skroń do skroni, przechadzają się po szkolnym ogrodzie w godzinie rekreacji. Co za powaga! co za intensywne życie duszy pulsuje w gorącym szepcie cudownie naiwnych „sekretołów!”

Lepiej pożegnajmy się z niemi na zawsze.

Nie chcemy zobaczyć, jak będą wyglądały nasze dziewczynki po latach kilkunastulecia... kiedy już przejdą tę okropnie demoralizującą szkołę, jaką jest życie kobiety—nauczające ją na przykładach bolesnych, że wszystkie wysiłki jej umysłu i duszy nie przydadzą się jej do niczego... że wszystkie w niej najwyższe wartości ludzkie nie będą się jej liczyć, że w życiu jej o wszystkim stanowi przypadek urodzenia i przypadek zamełcia, że przyjaciółki zbliżają się po to, aby wypatrzyć, gdzie znajdują się słabizny, w które można najłatwiej żądło wrazić, że wygraną zapewnia najbardziej wyrafinowana perfidja i mistrzowska przebiegłość, że jedynym ratownikiem w życiu kobiety od nędzy najgorszych jest majątek...

Nie! nie chcemy ich widzieć po przejściu tej szkoły... możebyśmy zobaczyli dwie jędze, wydrapujące sobie oczy!

Stare kobiety mają całkiem zasłużoną złą opinię. — Stare kobiety są dużo gorsze od starych

mężczyzn, są od nich gorsze o całą gorszość życia kobiecego od życia mężczyzn. „Gdyż zło jest dzieckiem cierpienia”.

Bezwarunkowo nasza moralna ocena wypadnie bardzo niefortunnie w porównaniu do mężczyzn, jeśli nas sędzić wedle postępów, jak robi sędzia, pozytywnie.

Ale psycholog na tem nie może poprzestać; on wie, że czyn nie jest wolną manifestacją duszy. Na jego charakter wpłynęły inne jeszcze współczynniki.

Psycholog poszukuje gatunku duszy, który się ujawnia w sumie czynów życia, w nucie ich przeważającej, w uczuciu, które nad życiem dominuje.

Dlaczego tragicznie wybiera sobie bohaterów wyłącznie z pośród wielkich tego świata?

Oni bowiem wolniejsi są od innych w wykazaniu się z tem wszystkim, na co ich stać w kierunku zła i dobra.

Kobieta była dotychczas zbyt zależną, zanadto nic nie znaczącą, aby jej postępy mogły dawać pełną miarę jej duszy!

Dusza kobiety—pamiętajmy o tem zawsze i przede wszystkim—jest to ta, która wiele kochała!

Miłość jest najlepszą legitymacją duszy do nieba.

Grzechy kobiety są grzechami z miłości, z jej nadużycia. Nadmierna miłość ma swój nienasycony, bezwzględny, okrutny egoizm, który chce wszystko rzucić pod stopy ukochanym. I ona pcha im w gardło, ciska im pod nogi co tylko może, pełniąc bezprawie, dopuszczając się przestępstw... Sumienie nic jej nie wyrzuca.. bo sumienie nie ma nic do zarzucenia temu, kto działa „nie dla siebie”. Bezinteresowność jest dla czynu najwyższą legitymacją jego moralności.

Działając z miłości—wbrew egoizmowi, Winowajczyni bez winy ma duszę lepszą i wyższą od swoich postępów.

Nie! nie wszystkie kobiety są usposobione do poświęceń.

Są kuglarki i są blagierki poświęcenia — są jego komersantki, na poświęceniu robiące „dobre interesa”... Są egoistki, którym nie znana jest inna miłość, prócz erotycznej, dla której język nasz znalazł formę jedyną: „kochać się”—co znaczy w drugim człowieku kochać siebie.

Ich altrocentryzm eksploatacyjny jest skrytą formą egoizmu.

Ale w olbrzymim świecie kobiecym liczba tych egoistek jest znikomą!

Naogół biorąc, kobieta ma wyjątkowe usposobienie do poświęceń,

W kobiecie, należącej do kategorii najliczniejszej, w kobiecie, którą spotyka się na każdym kroku, jest coś z anioła—gdy kocha.

Taka, kochając męża, kochanka miłością erotyczną, kocha go ponadto uczuciem niepokalanym i bezinteresownym jak miłość matki. Ona nie może, nie potrafi zajmować się sobą, żyć dla siebie: poświęcenie jest w niej instynktem.

Oto dlaczego kobieta jest par excellence istotą moralną.

Bo cóż to jest czyn moralny?

Czyn moralny to tylko poświęcenie.

.....

Urodzona moralistka, kobieta wszystko podporządkowywa Idealowi Moralnemu; on jest przedmiotem osobliwszego jej kultu... Mężczyznę więcej pochłaniają problemy piękna, zagadnienia prawdy. Kwestja zła i dobra ma wyjątkową własność roznamietniania kobiety.

To nic, że przytem sama źle często postępuje—w nie poczytalności afektu!

Gdyby się komu udało opamiętać jej zapamiętałość?... otworzyć oczy jej zaślepieniu?! Kobieta nie zniesie, aby jej życie stało w otwartej niezgodzie z jej przekonaniem. Musi je uzgodnić ze sobą, bodaj za pomocą sofistyki, w której (niestety!) jest bardzo biegłą!...

Nie mniej przez to raz otrzeźwione sumienie będzie odtąd ustawicznie gnać wolę w kierunku poprawy...

Kobieta często bierze błędne dyrektywy od fałszywych proroków, zbyt ponoszona swoją skłonnością do zmiany i nowinek. Ale bez kierunku moralnego nie rozumie życia. Najgorsza jeszcze urabia wciąż siebie na wzór, który jest dla niej ideałem.

I dlatego znowu kobieta jest par excellence istotą moralną, od której wyczekuje ozdrowienia epoka nasza, amoralizmem zakażona.

Dusza, w której miłość tak już ochwiewała, osłabiła i nadkruszyła egoizm... dusza ta już otrzymała wspaniałe przygotowanie!

Wystarczy niekiedy, aby ta miłość od niej odeszła: Ideal ma w niej gotowego sługę. Egoizm jest to kamień, u szyi uwiązany duchom, który je wdół wlecze, w materię.

Dusza kobiety, która do tego stopnia wyżyła się już egoizmu, dlatego odznacza się takim polem!

Wszystkie też nadzieje duchowe świata wlepią oczy w zorzę młodego jej życia.

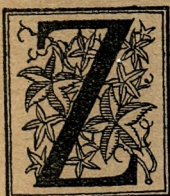
(c. d. n.)

JOSEPH CONRAD (JÓZEF KORZENIOWSKI)

TŁUMACZYŁA TERESA TATARKIEWICZOWA

Z POWODU DOLARÓW

2



a chwilę wytłumaczę ci, w jaki sposób Davidson poznał się z tym białym. A teraz opowiem tę część historii, która się tu zdarzyła; stanowi to jakby wstęp.

Wiesz zapewne równie dobrze jak ja, że ten bar, w którym w tej chwili siedzimy, istnieje od szeregu lat. Następnego więc dnia Davidson wstąpił tu około południa, aby coś przekąsić.

I w owej chwili, jedyny raz w całym tem zdarzeniu przypadek, zwykły przypadek, odegrał ważną rolę. Gdyby Davidson tego dnia powrócił na śniadanie do domu, to teraz, po dwunastu latach, nic nie byłoby się zmieniło w jego dobrym spokojnym uśmiechu.

Lecz wstąpił tutaj i może siedząc przy tym stoliku właśnie, opowiedział pewnemu mojemu znajomemu, że następną okólną podróż poświęci zbieraniu dolarów. Dodał, śmiejąc się, że żona jego robi mu z tego powodu trudności; prosiła go, aby został na lądzie, a wysłał na swoje miejsce kogoś innego; uważała, że podróż ta z powodu dolarów może być niebezpieczną. Odpowiedział jej na to, jak sam mi opowiadał, że w teraźniejszych czasach na jawajskim morzu niema Korsarzy, chyba w książkach dla dzieci. Śmiał się z jej obaw, ale martwiły go, bo gdy raz sobie czem głowę nabiła, trudno jej to było wyperswadować. Cały czas jego nieobecności będzie się niepokoiła, ale nic nie mógł na to poradzić. Nie było nikogo na statku, kto by go mógł zastąpić w tej podróży.

Ow znajomy Davidson'a i ja wróciliśmy do domu tym samym statkiem; pewnego wieczora na Czerwonym Morzu w czasie jednej z naszych pogawędek o rzeczach i ludziach, których porzuciliśmy z mniejszym lub większym żalem, wspominał mi o tej rozmowie.

Nie mogę powiedzieć, by Davidson zajmował wybitne stanowisko, ale rzadko to się zdarza ludziom o wysokiej moralnej wartości. Oceniany był prawdziwie przez tych, którzy go dobrze znali; przedewszystkiem jednak wyróżniał się z pośród nas stanem małżeńskim, gdyż, jak przypominasz sobie zapewne, paczka nasza była kawalerska, jeśli nie faktycznie, to przynajmniej z przekonania. I choć kobiety odgrywały rolę w życiu niejednego

z nas, ale były niewidzialne, usunięte w cień i nigdy się o nich nie mówiło. Bo i poco? Jeden tylko Davidson był otwarcie żonaty.

Był on jak stworzony do stanu małżeńskiego do tego stopnia, że najdzikszego z nas nie oburzył ten fakt, gdy stał się ogólnie wiadomym. Gdy tylko Davidson poczuł się tu pewniejszym, zaraz posłał po swą żonę. Przyjechała z Zachodniej Australji na „Somerset” pod opieką kapitana Ritchie (znasz go zapewne, Ritchie, zwany Małą), który nie mógł dość się nachwalić jej słodczy, uprzejmości i wdzięku. Zdawała się być anielską towarzyszką życia dla Davidson'a. Zastała po przyjeździe śliczny bungalow na wzgórzu, przygotowany dla niej i dla ich małej córeczki. Wkrótce kupił dla niej dwukólkę i kuca; odtąd zwykła była co wieczór przyjeżdżać do przystani po Davidson'a. Gdy Davidson, rozpromieniony, wsiadał, zapełniał szczerze swą osobą dwukólkę.

Podziwialiśmy zdaleka panią Davidson i jej dziewczęcą główkę, jakie się spotyka tylko w staroświeckich sztabmach. Podziwialiśmy ją zdaleka, rzadko mając sposobność przyjrzenia się jej zbliska, gdyż nie pragnęła nam tego ułatwić. Z przyjemnością zaglądalibyśmy do domu Davidson'ów, ale dano nam do zrozumienia, że nie jesteśmy tam mile widziani, chociaż pani Davidson nigdy nam nic nieprzyjemnego nie powiedziała; wogóle była małomówna. Zdaje się, że ja jeden widywałem Davidson'ów u nich w domu. Pod pozorami mdłej słodczy zauważyłem jej wypukłe czoło, zdradzające upór i śliczne, czerwone, samolubne usta. Lecz ja zaliczam się do tych, którzy zgóry mają wyrobiony pogląd na to, co obserwują. Większość z pośród nas uległa wdziękowi jej łabędziej szyi i melancholijnego niewinnego profilu. Mogę cię zapewnić, że wówczas w tych stronach wiele serc biło w ukryciu dla żony Davidson'a. Myślę jednak, że ona odpłacała za to nieufnością do wszystkich ludzi naszego pokroju, rozciągając chwilami to uczucie, jak mi się zdawało, nawet na swego męża. Przypuszczałem, że była to z jej strony pewnego rodzaju zazdrość o niego, choć nie było tu wówczas żadnych kobiet. Nie miała wcale towarzystwa kobiecego; bardzo jest trudno o nie dla żony kapitana, chyba że jest więcej w danej

miejsowości żonatych dowódców statków. Wówczas nie było żadnego. Wiem, że odwiedzała ją żona dyrektora portu, lecz to było wszystko. Między naszymi kolegami pani Davidson cieszyła się opinią słodkiego, nieśmiałego stworzenia. Trzeba przyznać, że robiła takie wrażenie. Pogląd ten był tak powszechny, że znajomy, o którym ci wspominałem, tylko z powodu tego szczegółu o żonie zapamiętał swą rozmowę z Davidsonem i mówił mi ze zdziwieniem: „Nie mogę sobie wyobrazić pani Davidson, robiącej mężowi takie trudności. Nie wydaje mi się, aby miała z jakiegokolwiek powodu robić awantury”.

Dziwiło mnie to, ale nie tak bardzo. To wypukłe czoło... Podejrzywałem ją zawsze, że jest głupia.

„Davidson musiał być zapewne rozdrażniony tym wybuchem niepokoju u żony?” zauważyłem.

Na to mój znajomy odparł: „Przeciwnie, wydawał mi się być wzruszony i zadowolony. Nikt nie mógł go zastąpić na statku, przedewszystkiem dlatego, że miał wstąpić do jakiejś zapadłej zatoki, aby się zobaczyć z zamieszkującym ją pewnym osobnikiem, zwanym Bamtż'em”.

Tym razem mój znajomy zapytał mnie ze zdziwieniem:

„Powiedz mi, co może łączyć Davidson'a z takim Bamtż'em?”

Nie pamiętam już, co mu wtemczas odparłem, ale na to jest odpowiedź w dwóch słowach: dobroć Davidson'a nie zawodziła nigdy, jeśli był choć najmniejszy powód do współczucia. Nie przypuszczaj jednak, aby Davidson nie miał swego zdania; Bamtż'owi nie udało by mu się go oszukać. Zresztą wszyscy wiedzieli, co o nim sądzić. Był to brodaty szwindlarz. Gdy pomyślę o Bamtż'u, staje mi przed oczami przedewszystkiem jego czarna broda i mnóstwo zmarszczek w kącikach małych oczek. Nie było drugiej takiej brody stąd aż po Polinezję, gdzie broda sama przez się jest przedmiotem wartościowym. Broda Bamtż'a w inny jeszcze sposób była cenną dla niego. Zapewne jest ci wiadomem, jakie wrażenie robi na ludziach Wschodu piękna broda. Pamiętam, jak dawno już temu wielki kupiec z Sambiru, poważny Abdullah, nie mógł ukryć swego zdumienia i zachwyty, gdy pierwszy raz zobaczył tę imponującą brodę. Znanem było ogólnie, że Bamtż całe lata żył z Abdullah'em.

Nie było drugiej takiej brody na świecie i drugiego takiego brodacza: był to szwindlarz nad szwindlarze. Uczynił z oszustwa sztukę, a raczej rodzaj rzemiosła lub tajnego obrządku. Można zrozumieć, jak żyją ludzie ze szwindlów i małych oszukaństw w miastach i wielkich zbiorowiskach ludzkich, lecz Bamtz potrafił oszukiwać na pustyni, na skraju dziewiczej puszczy.

Umiał wkraść się w łaski krajowców. Przybywszy do jakiegś

osady nad brzegiem rzeki, ofiarowywał miejscowemu Radzy, wodzowi plemienia lub najpoważniejszemu kupcowi tani karabin albo tandetną lornetkę; poparty tym darem, żądał, aby mu wyznaczono dom na mieszkanie, udając tajemniczo niezwykłego kupca. Potem omotywał ich bez końca, żyjąc z tego, co mu się udało wyłudzić, aż wreszcie popełniał parę oszukaństw lub coś w tym rodzaju i krajowcy, mając go dosyć, wypraszały go od siebie,

a on wówczas pokornie wynosił się, udając obrażoną niewinność. Dziwne życie. Jednak zawsze ostatecznie wychodził bez szwanku z każdej przygody. Słyszałem, że Radza z Dougala dał mu za pięćdziesiąt dolarów towarów i zapłacił za niego przejazd na prao, byle się go pozbyć. To fakt. Zauważ, że mógł być ściąć Bamtz'a, a ciało jego zrzucić ze skał w morską głębię, nikt przecież nie byłby się o niego upominał. (c. d. n.)

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

21

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



potem, zwolna, las pocyna przesiewać przez gmatwaninę gałęzi blado złote promienie. Tańczą na stożkowatych czubach świerkowych, wślizgują się po fioletowej korze sosen w najtajniejszą głąb, w mroczne serce olbrzyma i las pocyna ożywiać się, płonąć, otrząsać ostatnie lzy senniejszej zadumy. Pojedyncze głosy ptaszące łączą się w chóry; całe kapele, ukryte w zielonych altankach, dzwonią i brzęczą, a dziecięcy, przylepione do pni w pozycji pionowej, wystukują poważnie do taktu.

Leżę we mchu, zaplótłszy dłonie nad głową, a przyniesiona książka świeci opodal fałszywą bielą szczerze nie zadrukowanych kartek.

Leżę we mchu i myślę: o ileż piękniejsza jest ziemia od wszystkiego, co o niej kiedykolwiek pisan... O ileż mądrzejsze jest piękno od wszelkich na ten temat dyskusji...

Tam gdzieś, daleko poza mną, istnieje teraźniejszość i przeszłość, istnieje czas, szkaradnie pokratkowany przez ludzi na dni, miesiące i lata. Tu — wszystko jest ruchem w nieruchomości swojej, ciszą dźwięczącą, a minut wcale niema. Są całe wieki zapomnienia i momenty myśli, ogarniające wieczność.

Trwam w zachwyceniu, w bezruchu, starając się nie myśleć, a tylko czuć w sobie tętno życia. Nareszcie znam pełną harmonję: słyszę uderzenia własnego serca jako jeden jeszcze nikły ton w tej wielkiej symfonicznej orkiestrze tonów.

A czasem, znienacka, któreś z drzew jęknie cicho, gałęzi jego wstrząśnie dreszcz... Wówczas i mnie przenika na chwilę dreszcz grozy albo trwogi lub tylko żalu, że coś zmąciło ciszę wkoło mnie. Tedy, zbudziwszy się z pół odrętwienia, zaczynam snuć wątle niteczki wspomnień. Rozwieszam je w powietrzu jak ów pajak o świecie i czekam, aż liche owad — me własne serce — złapie się i zaplącze w siatkę zdradliwą.

O, biedne serce ludzkie! Jesteś tą urodzajną glebą, na której rokrocznie złe chwasty puszczają nowe pędy i plenią się nanowo, ponieważ nie zostały zawczasu wyrwane z korzeniem.

A potem trzeba leczyć to biedne, chore serce, nie dotykając miejsc obolałych, bo znów zapieką. Tylko zwierzę dotyka swych ran, by je zagoić. Człowiek czyni to zwykle, aby je nanowo rozkrwawić.

Sza, Krysiu, sza... Nie dość ci, że las pachnie, że na świecie jest słońce, że dla ciebie, w tej chwili tylko dla ciebie — śpiewają wszystkie ptaki? Musisz — że zawsze koniecznie wyzywać duchy umarłe, pławić się we wspomnieniach bolesnych, rozgryźć w każdym z nich utajone ziarno gorczyźne, doszukać się smaku piołunu w słodkim miąższu dziecięcych tragedji?

Dlaczego, myśląc: ten las pachnie i szumi tak pięknie, dorzucam zawsze zbyteczny refren: wtedy szumił i pachniał tak samo, wtedy, gdy było wszystko: i młodość, i szczęście, i ludzie bliscy, ludzie kochani...

Zdaje mi się, że słyszę drwiący głos z pod ziemi:

...Nie było nas — był las.

Nie będzie nas..

Tak, teraz tylko on jeden pozostał i szumi.

XXV.

Zbigniew Rymsza jest w Klimontowicach.

Chodzę jak błędna, miejsca sobie znaleźć nie mogę. Gdyby mi ktoś wczoraj zrana powiedział, że to prawda, nie uwierzyłabym. Ale widziałam go sama. Widziałam go w kościele...

Prawie nic się nie zmienił. Ujrawszy go tak niespodziewanie, z pierwszej chwili miałam wrażenie, że moje życie cofnęło się o dwanaście lat, o całe dwanaście lat, kiedy w taki sam [skwarny lipcowy dzień odjeżdżałam z Klimontowic — jak sądziłam wtedy — na zawsze...

Wszyscy stali na ganku: Emilka, pani Rymszyna, Janusz. Nawet Ela wychyliła się z okna swego pokoju i przesyłała mi obiema dłońmi pocałunki...

Odwrociłam głowę, by nikt nie spostrzegł, że płaczę. Przez cały tydzień trzymałam się dzielnie. Wszyscy zostali w końcu przekonani, że nie wzięłam zbyt do serca tej całej historii. Niektórzy mieli mi to nawet za złe... Przychodziłam na obiad, na wieczór, jakby nigdy nic. Uśmiechałam się. Najtrudniej było z samym Zbigniewem. Usiłowałam też nie patrzeć w jego stronę, bo czułam ustawicznie badawczy, niedowierzający jego wzrok. A przecież wszystko zostało rozstrzygnięte.

Zaszłam do Eli w przeddzień odjazdu. Powiedziałam jej: „Pamię-

taj, że teraz ty odpowiadasz za jego szczęście". Mizerna jej twarzyczka, węższa jeszcze i bledsza po przebytym tyfusie, oblała się słabym rumieńcem. Zarzuciła mi ręce na szyję:

— Jakaś ty dobra, Krysiu! Jak ja cię strasznie kocham... Jeszcze więcej... Wiem, czuję, że poświęciłaś się dla mnie...

— Tylko bez patosu — odparłam prawie szorstko. — Jeśli zwróciłam Zbigniewowi słowo, zrobiłam to po głębokim namyśle. Widocznie miłość nasza nie była dosyć silna, skoro nie przetrzymała najbliższej próby. Gdybym czuła, że jest inaczej, walczyłabym o nią, Elu. Ale nie mogę walczyć. Pamiętaj — teraz ty musisz kochać Zbigniewa. Zawsze, zawsze musisz go kochać. Czy mi to przyrzekasz?

— Och, Krysiu. Ja go tak strasznie kocham! Umarłabym...

Rozpłakała się.

— No, no, teraz już cicho... Już dobrze... Staraj się prędko wracać do sił. I bądź od dzisiejszego dnia dorosłą osobą, Elu. Pamiętaj, już ci nie wolno kaprysić jak małej dziewczynce, którą wszyscy pieściłimy i psuli potrochu...

Pogłaskałam jej ostrzyżoną głowę i wyszłam prędko, aby z kolei się nie rozczulić nad sobą. O, jakże pragnęłam wtępić przejrząc tę dziewczynę nawskroś, przekonać się, czy jej serce dlatego jest serduszkciem, że jeszcze nie miało czasu dojrzeć, czy też — zostanie na zawsze karłowatym błazenkiem, strojącym miny do lustra.

Przecież to dla niej, dla niej wyrzekłam się Zbigniewa... Dlatego, że ta pensjonarka bladła i chudła z miłości, że majaczyła o nim w gorączce, że wszyscy patrzyli na mnie z niemem błaganiem w oczach...

Nie poto, by ziścić najgorętsze życzenia „Cioci Józia”, nawet nie dla kariery jej syna, o nie!... To dla smutnych, umęczonych oczu Emilki powiedziałam Zbigniewowi, że między nami wszystko skończone na zawsze. Nie mogłam patrzeć na tę bezradną mękę Emilki, która była dla mnie zawsze taka słodka i z całego serca, ona właśnie, pragnęła mego szczęścia.

Ach, ta Ela, ten ośmnastoletni smarkacz, ta despotka, trzęsąca całym domem dlatego, że wszyscy, nie wyłączając mnie, drżeli o życie i zdrowie jedynej dziedziczki Romaniszek i Klimontowicz z przyległościami...

Jakże nienawidziłam jej, pomimo całego przywiązania! Jakże długo nie mogłam zapomnieć, że kilka zdań, wyrzeczonych w malignie, zaważyło tak bardzo na mojem

życiu, tak gruntownie zmieniło jego bieg!

Kiedy już miałam wyjeżdżać, wszyscy, kto żyw, zgromadzili się na ganku. Brakło tylko jednej osoby... Mogłabym wówczas policzyć moich przyjaciół, których żegnałam na długie czasy... Ale myślałam tylko o tem, by wstrzymać potok łez. Mówiłam sobie: tylko nie płakać, nie płakać...

Balbina staremi trzęsącymi rękami kreśliła krzyżyki na mojem czole i szeptała mi w ucho:

— Rybko ty moja... Rybeńko ty moja najmiłsza! Niech im Pan Jezus przebaczy, że cię skrzywdzili... Bo oni cię skrzywdzili, rybeńko... Ale nie trap się ty, kochanieńka moja...

— Nic, nic, Balbisiu. Już dobrze. To ja sama chciałam tego. Ja sama... — odpowiadałam również szepem, by nas nie usłyszano.

— A gdzież to Zbigniew? — spytała nagle ciocia Józia.

Dopiero teraz wszyscy zauważyli, że go nie było na ganku.

— Pewnie poszedł naprzód i czeka pod młynem, aż Krysia będzie przejeżdżać — rzekła Emilka.

Konie ruszyły. Za bramą przełknęłam z wysiłkiem dławiące łzy i rzekłam stangretowi:

— Pojedziemy na „Krynickę” i starą groblą...

— Tam woda duża, panienczko, a koło młyna i droga lepsza, i bliżej...

— Jedź na Krynickę — odparłam stanowczym głosem.

Pojechaliśmy na „Krynickę”. Zdaleka widniał jak na dłoni stary dwór w otoczeniu jeszcze sędziwszych lip i klonów o liściach, zszarzałych od skwaru. Koła toczyły się z głośnym stukotem po wyboistej drodze, którą teraz rzadko kto jeździł. W najwęższym miejscu stawu, tam, gdzie rzeka wpływa do niego, zbliżyliśmy się ku urwistemu brzegowi. Po przeciwnej stronie, za gładką, srebrzystą płachtą wody, jaśniał w słońcu nowy dach młyna. Ktoś biegł naprzelaj przez mokrą łąkę.

— Popędzaj konie! — krzyknęłam Feliksowi nad uchem — możemy się spóźnić na pociąg!

— A panienczka sama tędy jechać kazała! — zauważył z flegmą i zlekka dotknął batem szerokich grzbietów końskich.

Od strony łąki zabrzmiał silny głos: Hop hop! Feliks obejrzał się na mnie.

— To panicz Rymsza woła, panienczko. Zaczekać?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Zbigniew był już na brzegu strumienia. Stał i patrzył na mnie bez słowa.

— Nie przeskoczysz! — zawołałam prawie wesoło — Musimy się tak zdaleka pożegnać!

I machając chusteczką, krzyknęłam:

— Do widzenia!

Patrzył na mnie tym razem bez gniewu, tylko z bolesnym wyrzutem w oczach. Wiatr rozwiewał mu włosy i odsłonił białe, wysokie czoło. Stał nieruchomo, jakby mu nogi wrosły w tę kępę mięty nadbrzeżnej. Nagle podniósł rękę i wnet ją znowu upuścił. Zwisła bezwładnie wzdłuż ciała. Silna dłoń o palcach wysmukłych, które tak pięknie wyczarowywał tony, rysowała się ostro na ciemnym tle ubrania. Nie mogłam oderwać wzroku od tej ręki, od tej całej postaci, do niedawna tak bliskiej, tak drogiej...

Przez resztę drogi do stacji, na pustym peronie i potem jeszcze, jadąc pociągiem, powtarzałam w myśli bez przerwy tych pięć wyrazów:

— Już go więcej nie zobaczę.

Zobaczyłam go — dzisiaj zrana, tak niespodziewanie. Siedział w ławce, w tej samej ławce, co ongi, i patrzył na kazalnicy, z której, jak ongi, zwisły girlandy sztucznych kwiatów. Kościół był przepełniony. Nie mógł dostrzec mnie w tłumie. Zresztą, nie mógł nawet przypuszczać...

Poznałam go odrazu. Świadomość szepnęła mi wcześniej, nim oczy zdołały się upewnić: to on.

— Mój Boże! Dwanaście lat... Mój Boże!

A więc ja jeszcze myślę o nim: On. Miłość nie potrzebuje innego imienia. Czyżby to była miłość? Jeszcze? Dziś?

Dwanaście lat. Jak to daleko od dnia, w którym powiedziałam sobie: koniec. Jak to dawno było. Jak niedawno!

Teraz rozumiem, że kłamałam sama przed sobą. Miałam wtedy pewność, że go jeszcze zobaczę. Choć jeden raz! Miałam tę pewność...

O, Balbino, moja stara, pocziwa Balbino! Przed tobą jedną płakałam, aby się pozbyć tych gorzkich, piekących łez. Pocieszałaś mnie obietnicą, że każdy smutek z czasem przemija.

Patrzę na zegar, na milczący zegar, zabrany z Klimontowicz. Czyżby wskazówka drgnęła z miejsca? czyżby dzisiaj, po latach dwunastu, wybiła znowu ta moja fatalna godzina? Miałaby zegar nownie zacząć swą pracę niszczącą? Słyszę w tej chwili własne serce: to także zegar, mierzący czas. Z każdym uderzeniem zbliża się moment nieunikniory. Moment, w którym się zegar na zawsze zatrzyma. (c. d. n.)

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

14



Wiadomość o aresztowaniach dokonanych 12 marca i o zniknięciu lorda Edwarda wzburzyła cały Dublin. Biedna Pamela nie mogła opędzić się radom, naganom i przestrogom rodziny i znajomych.

Ona jednak posłuszna wskazówkom Edwarda, które jej przynosił wierny murzyn, myślała tylko o zdobyciu innego mieszkania, któreby pozwoliło jej widzieć się z mężem. Wynajęła skromny domek na jednej z bocznych ulic. Namowom krewnych, by pozostała w Leinster House, oparła się pisząc do ciotki Sary stanowczo choć bardzo serdecznie:

„Pozwól mi droga Ciociu, bym porozmawiała z Tobą „na rozum“. Otóż, nie mogę pojąć owej „godności“, którą rzekomo daje mi Leinster House.

„Wyznaję że mam dosyć dumy, aby sobie wystawić, że gdziekolwiek będę ja sama potrafię zachować godność, którą winnam memu ukochanemu małżonkowi, jego rodzinie i sobie samej.

„Jakto! brzydkie, bardzo smutne mury, bardzo zimne kurytarze, które w obecnym moim stanie zdrowia, uniemożliwiają mi czuwanie nad moją kochaną nursery, wydetek na światło i węgiel nieproporcjonalny do moich funduszy, (gdyż dom ten zmusza do wielkich wydatków!) jeśli to nie są raczej dobre i słuszne do wyprowadzenia się, to nie wiem już co powiedzieć!

„Powiedz mi proszę również, jaką ochronę dał mi Leinster House? Czy nie przeprowadzono rewizji, bez żadnej uwagi i względu dla kobiety bardzo chorej (bo istotnie mogło to mnie zabić!) i bez najmniejszego respektu dla Leinsterów! Och Ciociu, trzeba sobie powiedzieć, że o ni nie mają szacunku dla nikogo i niczego!

„Wytłumacz, proszę, kochanej ciotce Luizie, (której za nic na świecie zmartwić bym nie chciała) że nie jestem ani niewdzięczną ani rozstrzępaną i gdyby kupno tego domu nie było dobrym interesem nie byłabym się tak spieszyła...

„Do widzenia droga Ciotko-przyjaciółko, jutro idę do mojego domu“.

* * *

Wieczorem tegoż samego dnia, w którym Pamela sprowadziła się do skromnego mieszkania na Denziltreet, zapukała do drzwi domu wieśniaczka, czarnobrewa, błękitnooka, w chustę otulona, z koszem na plecach. Murzyn, który jej otworzył zamknął pospiesznie za nią drzwi. Pamela padła, śmiejąc się i płacząc na szyję gościa.

Tak, co wieczora, przychodził w przebraniu kobiecem, lord Edward Fitz Gerald do domu swojej żony, dopóki niebezpieczeństwo nie kazało mu zmienić kryjówki. Miał później schronisko w okolicach Dublinu, w Portobello u zacnej wdowy, Mrs Dillon, która często przychodziła do Pameli, witana z serdeczną wdzięcznością. Wnet jednak rzucił się do przebiegnięcia całej prowincji, wypełniając nadludzkim wysiłkiem luki, które w organizacji zrobiły aresztowania przywódców. Raz w przebraniu pastucha, to jako przekupień, pocztyljon, wszędzie obecny a nieuchwytny, wymykający się zasadzkom, gdy tuż, tuż miano go już pochwytać, dodający wszystkim otuchy i entuzjazmujący przykładem swej szalonej odwagi, ten człowiek w kilku tygodniach stał się legendą. Rozmawiała się w nim dusza prostego ludu.

On sam, udręczony nadmiarem podłości, zdrady, lepkich matactw oplatających go w ostatniej dobie, odżywał w tem zetknięciu się z przyrodą i ludźmi tak bliskimi jej jak owi Indianie czerwonoskórzy, przyjaciele jego wczesnej młodości. Ci biedni, półdzicy chłopcy, przysięgający przed obrazem Matki Boskiej na „Prawa Człowieka“



nie mieli w sercach zdrady. Była w nich, krzywdzonych od wieków, siła nienawiści i zawziętość, która budziła nadzieję zwycięstwa.

Więc gdy wpadał na chwilę do swego gniazda, krzepił żonę słowami nadziei i temi chwilami, „słodkimi i strasznymi“, żyła biedna kobieta.

Czasem zdawało się jej że to wszystko straszny sen, że któregoś jasnego poranka zmora zniknie wraz z cieniem nocy i, wpośród szczęśliwości narodu, będzie wolno im dwojgu żyć znów dla siebie w cichym małym domku, w skromnym bycie: dear humble mediocrity!

Sen skromny a tak niedościgniony, jaki śnili nieraz ludzie wpośród oparów krwi!

* * *

20 kwietnia zapukał do drzwi Pameli gość zgoła nieoczekiwany, na którego widok młoda kobieta zadrzała, jakby w przeczuciu jakiegoś nowego nieszczęścia. Był to drugi mąż księżnej: pan Ogilwie. Przychodził jako wysłannik rodziny.

Wielkorządcy Irlandji byłiby chętnie pozbyli się lorda Edwarda z kraju i przyknęliby oczy gdyby ten tak niewygodny człowiek chciał sam się wycofać z gry n. p. wyjechać do Ameryki. Wiedzieli, rzecz prosta, że krok taki byłby go na zawsze zabił w opinii patriotów. Lord Castlereagh szepnął słówko lady Luizie Conolly, ta powiadomiła swego siostrzeńca lorda Henryka, bawiącego w Boyle Farm koło Londynu. Zwołano radę familijną i postanowiono na niej wysłać pana Ogilwie, jako parlamentarza do Pameli. Ona jedna bowiem wiedziała, gdzie mąż się ukrywa, ona jedna mogła mu oznajmić czego pragnie rodzina.

Zaraz po przybyciu do Dublinu, p. Ogilwie zgłosił się do kanclerza, lorda Clare.

„Na litość boską, wyprawcie co prędzej tego nieszczęśliwego młodego człowieka! — zawołał tenże — wszystkie porty będą dla niego otwarte i usunie się wszelkie przeszkody“. Pamela jednak dowiedziawszy się, że ojczym Edwarda przychodzi z polecenia rządu, przelekła się. Nie ufała ani życzliwości ani szczerości „papy“ i za nic na świecie nie byłaby mu wyjawiała

kryjówki swego męża który był w tej chwili w Dublinie i miał przewodniczyć zebraniu Komitetu w prywatnym mieszkaniu właściciela zajazdu na Tomasstreet: Moore'a.

Pan Ogilwie dowiedział jednak się o tym adresie (wyłudził go podobno od bony francuski) i poszedł na wskazane miejsce. Lord Edward opuścił na chwilę swych kolegów aby rozmówić się z ojczymem. Rzecz prosta, na propozycję jego ruszył ramionami ze smutnym uśmiechem.

„Zbyt głęboko oddałem się tej sprawie, abym mógł ją porzucić nie bezczeszcząc się” — odparł — podziękował jednak ojczymowi za dobre jego chęci i, sięgnąwszy z palca kosztowny pierścień, dał mu go „na pamiątkę”. Pan Ogilwie oddał się „ocierając łzy”. Miss Moore, siostra gospodarza była świadkiem tej sceny.

Co dziwna, to że p. Ogilwie wróciwszy do Boyle Farm ani słówkiem nie wspomniał rodzinie, że widział się z pasierbem.

Lord Edward natomiast, przyszedł wieczorem, jak zwykle przebrany za kobietę, na Denzil street i, bez cienia złej myśli, opowiedział żonie o widzeniu się z ojczymem.

Pamela zdrętwiała. Przeszyło ją, jak nożem jasnowidzące przecucie, że wizyta ta przyniesie nieszczęście mężowi. Z jękiem rzuciła mu się na szyję, opłótła go ramionami jakby już widziała nad tą najdroższą głową cień miecza. Nie mógł jej w płaczu utulić.

Nagle pochwyciły ją gwałtowne bóle przedwczesnego porodu. Wła się w nich noc całą. Lord Edward nie miał serca opuścić jej, mimo że każda chwila groziła mu niebezpieczeństwem. Dopiero gdy zaczęło świtać a w kołysce zakwiliła maleńka dziewczynka, o dwa miesiące zawcześniej na świat przybyła, odszedł niespokojny i smutny, postanawiając sobie że gdy tylko zdrowie biednej położnicy pozwoli, wyprowadzi ją natychmiast w zacisze bezpieczne, daleko od tych rozdzierających serce niepokojów.

Pamela wzdygała się na myśl rozłąki, więc aby ją nakłonić do wyjazdu mąż powiedział, że ma ważne dokumenta do przesłania, które jej jednej powierzyć może. Uległa, jak zwykle, i niebawem podała o paszport zagraniczny. Otrzymała nie tylko pozwolenie ale nakaz aby wyjeżdżała jaknajrychlej.

„Lady Egalité wybiera się do Hamburga — chichocze raport szpiega. — Będzie miała listy zastępcze w podszewce swojej sukni”.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



ZASŁUŻONA DZIAŁACZKA NORWESKA

„Equal Rights” tygodnik, wydawany przez Narodowe Stronnictwo Kobiet w Ameryce (National Woman's Party), zamieszcza interesujący wywiad z zasłużoną i znaną działaczką społeczną norweską, Fru Betzy Kjelsberg, która przybyła do Waszyngtonu jako delegatka na tegoroczny kongres Międzynarodowej Rady Kobiet i bawi obecnie w Ameryce.

Fru Kjelsberg zajmuje w swej ojczyźnie stanowisko wybitne i zaszczytne. Jest przede wszystkim, z ramienia rządu, naczelną inspektorką fabryczną, jest także członkiem Królewskiej Komisji do spraw bezrobocia, naczelną departamentów rządowych seminarjów dla nauczycielek gospodarstwa domowego, wiceprzewodniczącą Narodowego Związku Pracy Społecznej etc. etc. Jako delegatka rządu norweskiego brała udział we wszystkich międzynarodowych konferencjach pracy w Genewie i Waszyngtonie. W uznaniu jej wielkich zasług społecznych, król norweski nagroził ją przed kilkoma laty „Złotym Medalem Zasługi”.

Pomimo tych wszystkich zaszczytów i honorów, Fru Kjelsberg zachowała cechy ujmującej, miłej prostoty i bezpośredniości. Dziennikarka amerykańska, miss Gaeta Boyer, która miała zaszczyt interviewować zasłużoną działaczkę, opisuje ją jako „osobę w średnim wieku, ubraną bardzo skromnie, o twarzy dobrotliwej i miłej, z żywymi oczami, w których maluje się rozum i energia”.

Zapytywana o położenie kobiet w Norwegii, Fru Kjelsberg odpowiada z uśmiechem, że „jedynym terenem pracy, który nam dotychczas jest wzbroniony, są — armja i stan duchowny”.

Pozatem działalność nasza rozwija się w każdym zawodzie i na każdym polu szybko i pomyślnie. Prawa norweskie nie czynią dziś już żadnej różnicy pomiędzy mężczyzną, a kobietą; nikt u nas nie może ulegać żadnym ograniczeniom jedynie z powodu tego, że należy do tej, a nie innej płci.

Nie znamy także t. zw. „praw ochronnych”, o których dziś tyle się mówi i które mają zapewnić kobietom pracującym w przemyśle ochronę zdrowia. Nasze ustawodawstwo tak reguluje pracę robotnika, bez względu na to, czy jest on mężczyzną, czy kobietą, aby mógł on mieć konieczny wypoczynek i niezbędne warunki higieniczne. Mamy 48-godzinny tydzień roboczy, rozdzielony w ten sposób, że na pierwsze 5 dni w tygodniu przypada po 8½ godzin pracy dziennie; soboty zaś od południa są wolne.

Co się tyczy pracy nieletnich, to, wobec przymusu powszechnego nauczania, który nakazuje każdemu dziecku do lat 14 spędzać 5 godzin dziennie w szkole, pracich zarobkowa ograniczona zostaje zaledwie do 2ch godzin dziennie. Ustawy nasze surowo wzbraniają zatrudnianie nieletnich (do lat 18-tu) dłużej niż przez 7 godzin dziennie.

Jedyną ustawą ochronną, zastosowaną specjalnie do kobiet, jest prawo ochrony macierzyństwa. Każda pracownica musi powstrzymać się od pracy przez 6 tygodni po przyjściu na świat dziecka, ma również prawo — w razie zażądania — do miesięcznego urlopu przed porodem. W razie dłuższej choroby, która nie pozwoliłaby jej po porodzie powrócić do pracy, ma prawo do otrzymywania przez sześć miesięcy zasiłku odgminy.

Zapytywana o rezultaty swej pracy jako głównej inspektorki fabrycznej, pani Kjelsberg wyjaśnia, że dziś w każdym mieście norweskim istnieje wydział inspekcyjny, zależny bezpośrednio od Głównego Inspektoratu. Wydział ten, składający się z 5 członków, pomiędzy którymi musi się znajdować obowiązkowo przynajmniej jedna przedstawicielka robotnic fabrycznych, ma za zadanie czuwać nad warunkami sanitarnymi i higienicznymi oraz wogóle nad warunkami pracy robotników we wszystkich fabrykach i zakładach przemysłowych danego okręgu.

Pani Kjelsberg podkreśla przytem z uśmiechem, że rolę inspektorek pełnią przeważnie kobiety, i że robotnicy fabryczni z zupełnym zaufaniem powierzają im misję troskliwej opieki zarówno nad sobą, jak i nad swymi koleżankami. „Dzięki staraniom kobiet — mówi Fru Kjelsberg — mężczyźni u nas uzyskali już niejedno polepszenie swych warunków bytu”.

Gorąca zwolenniczka równouprawnienia obu płci, pani Kjelsberg kładzie nacisk na konieczność świadomej i zorganizowanej akcji kobiet wszystkich krajów cywilizowanych w kierunku osiągnięcia na-

leżnych im praw. Jednym z ważniejszych jej zdaniem — problemów jest uzyskanie przez kobiety uznania dla znaczenia ich pracy domowej, pracy, dotychczas jeszcze tak często lekceważonej i niedocenianej.

„Dzięki stanowczemu i zdecydowanemu stanowisku kobiet skandynawskich, zwołaną została komisja rządowa, rezultatem jej pracy było uchwalenie nowego prawa małżeńskiego, obowiązującego w Szwecji od r. 1921, a u nas, w Norwegii, poddanego również pod obrady obecnego parlamentu. Podstawą tego prawa jest uznanie wartości i ekonomicznego znaczenia gospodarszej pracy kobiety w domu.

Prawo to, nosząc wszystkie dotychczasowe ograniczenia wolności kobiety zamężnej, wyłącza ją z pod władzy męża i czyni istotą niezależną. Zezwala ono żonie na wykonywanie bez zezwolenia męża każdej, dowolnie obranej, pracy zawodowej, obieranie dowolnego miejsca zamieszkania, zawierania umów i kontraktów, daje jej prawo do równego udziału w zarobkach męża i t. d. O ile żona zajmuje się gospodarstwem i prowadzeniem domu, praca jej uważana jest za ekwiwalent pracy zarobkowej męża. Żona ma prawo do otrzymywania od męża nie tylko pieniędzy na utrzymanie domu, lecz i na swoje osobiste wydatki, przyczem w razie, o ile mąż odmawia udzielenie jej sum potrzebnych, przysługujące prawo zastrzeżenia sobie tej sumy na jego dochodach i wówczas suma ta bywa jej wypłacaną bezpośrednio”.

Fru Kleisberg interesuje się żywo kwestią modernizacji metod gospodarstwa domowego, widząc w tem jedno z donioślejszych zagadnień dzisiejszego świata kobiecego.

„Dopóki praca domowa kobiety nie ulegnie gruntownemu przeistoczeniu przez podniesienie jej do poziomu zawodu, wykonywanego z całą precyzją, z zastosowaniem wszelkich wynalazków techniki nowoczesnej, dopóty kobieta nie wyzwoli się nigdy ze swej zależności materialnej i umysłowej. Siły i czas, marnowane bezprodukcyjnie i bezplanowo na całodzienną — a jakże często niemal na całoroczną dreptaninę po domu i kuchni, zużywane zostaną w kierunku wykształcenia osobistej, pracy społecznej lub umysłowej i t. d.

Mężczyzna umiał już oddawna zastosować wynalazki techniczne w kierunku uproszczenia i ułatwienia swej pracy. Kobieta, przeciwnie, rozporządza dotychczas narzędziami prawie że prymitywnymi, bardzo mało zmienionymi od cza-

sów naszych prababek. Maszyna — ta nieoceniona pomocnica mężczyzny — nie miała dotąd prawie żadnego zastosowania w obrębie domu. Dziś wszystko to ulec musi zmianie. Nauka odkryła przed naszymi oczami doniosły problemat odżywiania; wynalazek elektryczności dał nam w ręce nieocenione narzędzie pomocnicze, dzięki któremu da się w szybkim czasie zrealizować idealne uproszczenie żmudnych zajęć domowych”.

Fru Kleisberg jest optymistką. Wierzy w celowość i powodzenie swej pracy, wierzy w to, że ludzkość zmierza stale — choć powoli — ku ideałowi „Królestwa Bożego na ziemi”, wierzy w skuteczność wysiłków ludzkich dla osiągnięcia ogólnego dobra — a z wiary tej wynikają jej czyny. Jest przytem bardzo skromna i nie przypisuje sobie żadnych zasług.

„W naszym kraju kobiety umieją i chcą pracować”, odpowiada z uśmiechem na słowa uznania dla swej niezmordowanej energii i pracy. „Jestem taką samą, jak i inne”.

UDZIAŁ KOBIET W WALCE Z RAKIEM.

Jedno z pism lekarskich angielskich podnosi doniosłą rolę, jaką odegrały kobiety w walce z chorobą raka. Nie mówiąc już o zasługach pani Curie-Skłodowskiej, której genialny wynalazek przyczynił się do zwalczania w bardzo znacznym stopniu tej plagi ludzkości, pismo to podkreśla wyjątkową działalność Związku Lekarek Angielskich, który postawił sobie za specjalne zadanie studia nad chorobą raka, dociekanie przyczyn jego powstania i metod leczenia. W skład komisji do tych badań wchodzi najwybitniejsze lekarki angielskie, jak Lady Barrett, Dr. Louisa Martindale i inne. Stowarzyszenie zebrało także fundusz na ustanowienie specjalnego stypendjum naukowego dla lekarek, poświęcających się badaniom nad chorobą raka.

KIEDY KOBIETA JEST SILNIEJSZA OD MĘŻCZYZNY?

Mężczyzna, zdaniem ogółu, zawsze i na każdym polu przewyższa siłą kobietę. Jeden z pisarzy amerykańskich jest jednakże zdania, że i kobieta nieraz bywa silniejsza od mężczyzny.

Wyższość jej nad „panem stworzenia” przejawia się w wypadkach, gdy chodzi o spryt, zręczność, szybkość ruchów i decyzji. Dlate-

go tak często kobieta zwycięża w walce ręcznej z przeciwnikiem, nieraz o wiele od siebie silniejszym. Dobrze wygimnastykowana kobieta, nie odznaczająca się wcale dużą siłą fizyczną, potrafi często zręcznym i szybkim manewrem powalić na ziemię napastującego ją siłacza.

Drugi wypadek, w którym kobieta może wziąć górę nad mężczyzną, to wtedy, kiedy chodzi o odwagę i zimną krew wobec grożącego niebezpieczeństwa. Wbrew ogólnie rozpowszechnionemu mniemaniu o tchórzostwie kobiet, rycerski amerykańcin broni je przed tym zarzutem i twierdzi, że są one naogół odważniejsze od mężczyzn i lepiej umieją stawić czoło niebezpieczeństwu. „Nie jest to zresztą”, dodaje z pewną dozą ironii, „całkowicie ich zasługą. Kobieta bowiem grzeszy brakiem wyobraźni i dlatego nie umie sobie zdać tak jasno sprawę z niebezpieczeństwa, jak mężczyzna. Stąd płynie jej pozorna odwaga”.

Z. B.

Z KSIĄŻEK

Strofy Alkara. Wydanie nowe zupełne. Kraków-Warszawa, skład główny Gebethner i Wolf. 1925.

Nowe wydanie książeczki, która czterdzieści lat temu cieszyła się sympatją publiczności, tej zwłaszcza, która umiała czytać między wierszami i wysubtelnionym słuchem subtelne chwycić aluzje.

Wiemy dziś, że tajemniczy Alkar — to zasłużony i sędziwy pisarz i weteran 63 go roku, któremu los udzielił rzadkiej zaprawdę łaski, że w pełni sił umysłowych, nie wypuszczając pióra z ręki, patrzy jak w rzeczywistość zmienia się sen, o który walczył, do którego dążył przez lat sześćdziesiąt z górą pracowitego literackiego zawodu.

Zdawaćby się mogło, że te misterne wierszyki, łączące homeryczną ironię ze szczerą polską tkliwością serca, stracić musiały aktualność. Były wszakże po większej części dziećmi chwili. Tymczasem dzisiaj właśnie sprawdza się to, co o nich pisał przed laty czterdziestu Kazimierz Kaszewski:

„Zbiór ten posiada warunki trwałości — jako odbicie chwili społecznej w jej najważniejszych dla nas żywiołach... i kiedy synowie nasi, już posiwiali, zajrzą do tego zbioru, znajdą w nim w części obraz, w części przypomnienie tego, co się odbywało w sercach ich ojców.”

I z radością stwierdzi dziś nietylko „syn posiwiali”, ale i młody wnuk, który bił się już za żywą Polskę, że jedyną siłą żywotną wnieśli w myśl polską ci, co jak autor Strof, wierni swej „romantycznej” ideologii powstańczej, zachowali przez

życie całe orientację polską i tylko polską, co „wbrew nadziei” wierzyli „Usque ad finem,” że „nienawiść, krew i żelazo” nie zbudują trwałej potęgi. W epoce „ciszy, pokory, pokuty” zdały się te odważne piosenki głosem wołającego na puszczy. Dziś budzą one w sercu autora radość: „gdyż niema większej radości, jak przypominanie sobie przeżytej niedoli w czasach odzyskanej szczęśliwości...” mówi on w przedmowie, powtarzając wiersz dantejski — tej samej radości doświadczył czytelnik o szczerze polskiej duszy. F. K.

DZIEŃ W OBOZIE ŻEŃSKIM P. W.

Komuś, kto był w wojsku lub wogóle zna żołnierski tryb życia, wyda się niepotrzebnym dokładne opisywanie trybu naszych zajęć w obozie zaleszczyckim; nie powiem mu nic nowego.

Jeś i chcę dać obraz życia uczestniczki obozu, to też nie dla tych kobiet, które umieją się same zastosować do najcięższych nieraz warunków życiowych, które prowadzą życie człowieka silnego, pracującego, dzielnego fizycznie. Chciałabym, żeby w życie obozowe wczuły się te wszystkie panie ze starszego pokolenia, inaczej wychowywane, niż my, uważające przysposobienie wojskowe za niepotrzebne dla kobiet, a życie obozowe za jakąś ekstrawagancję, wybrzyk nieledwie, te kierowniczkimłodzieży żeńskiej, które tylekroć ubolewają nad brakiem karności, nad niezadadnością życiową swoich wychowanek, a nie znajdują sposobów, żeby na to zaradzić, te wreszcie panny o najsłabszych nieraz porywach, ale rozpieszczone, niezadadne i kapryśne, przyzwyczajone do wygód, opieki ustawicznej i obsługi, nie umiejące sobie niczego odmówić.

Czas, spędzony w obozie, uważam dla młodej osoby za próbę wytrzymałości, karność, zaradności i wytrzymałości fizycznej, za egzamin, nietyle może przed drugimi, ile przed samą sobą.

Każda więc młoda dziewczyna, która chce nie tylko mówić piękne frazesy o patriotyzmie, o pracy społecznej, lecz chce się przekonać, że w razie potrzeby potrafiłaby pracować w warunkach twardych, ciężkich, pracować bez szemrania, bez upadku sił nerwowych i fizycznych, odłożywszy na bok swoje zwyczaje, fantazje, zwalczwszy swoje różne słabości, każda taka powinna zapoznać się z życiem obozowym.

I to nie z życiem obozowym w guście modnego dziś a tak rozkosznego campingu, w grupach nielicznych, nie związanych ze sobą żadnym stosunkiem zależności — ani wspólnością pracy osób. Camping taki, dając pole do najrozmaitszych często przygód, do wydobycia z siebie największej sumy energii i zaradności, pozwala jednak na jaknajwiększą indywidualną swobodę i użycie.

Nie z takim więc, tylko z życiem obozowym powinno zapoznać się nasze młode pokolenie, a szczególnie kobiety, dlatego właśnie, że nie przechodzą tej szkoły życia, jaką jest służba wojskowa, ale z życiem obozowym Przysposobienia Wojskowego, życiem zbiorowym, ujętem w ściśle określone ramy i zastosowaniem zupełnie do zakresu potrzebnych wiadomości i umiejętności, jakich to przysposobienie wymaga.

Bo myślałaby się bardzo ta z pań (a są takie), która by sobie wyobrażała, że jedzie się na obóz, na wypoczynek, na miłe spędzenie czasu lub szukanie wrażeń. Nic mylniejszego. Żmudna, codzienna, monotonna praca.

Naturalnie, że są chwile cudownej swobody, chwile wycieczek, ćwiczeń polowych i t. p. niezapomnianych, silnych, pięknych wrażeń. Ale to jest nieczęsto, to są jakby dni świąteczne.

Codziennosc jest męcząca i jednostajna. Godzina 5.30 pobudka.

Głos trąbki wyrwa nas z głębokiego snu. Bez chwili ociągania narzuca się kostium gimnastyczny i ledwie przetarłszy oczy, ledwie ocknąwszy się, biegnie na gimnastykę. Snąg postacie skulone, zaspane, ziewające, przeciągające się, na wielu główkach papiloty, inne w nieładzie pospuszczały warkocze. Na trawie rosa, poranek często chłodny, mglisty, czasem i deszczyk mży — nic to: gimnastyka odbywa się na dworze; nie mamy zresztą sali do ćwiczeń. Zato ile uroku w tym poranku! Odrazu, wprost z łóżka, stajemy przed ślicznym, rozległym widokiem wybrzeży dwustronnych, powietrze tak rześkie, czyste.

Jakaś ciężyna i radość wstępuje przy każdym ruchu w rozleniwione członki, ustają przeciągania i ziewanie.

Po gimnastyce dopiero ubieranie się i sprzątanie. Mycie bez względu na pogodę również na dworze. Jest wiele pań, które dotąd nie stanęły bosą nogą na trawie, którym wydawało się niemożliwością spuścić bluzkę i koszulę na dworze w chłodniejszy cokolwiek dzień. Szybko przyzwyczajają się do tego, bo lepiej myć się przecie tak, niż wcale, a w salach myć się nie wolno. Czyszczenie bucików i ubrań, często bardzo zabłoconych, okazuje się też dla wielu z nas niemiłą nowością. Mimo to, co się mówi u nas o ciężkich warunkach, o biedzie ogólnej i t. p., jakże mało jest wśród nas takich, któreby umiały obywać się swobodnie bez służącej. Niemka, Czeszka, znacznie zamożniejsza, bo uczestniczki kursu rekrutują się głównie ze sfery pracującej inteligencji, robi wszystkie te rzeczy sama (tu mała uwaga,

odbiegająca od tematu: że robią to one zwykle i za swego męża lub brata i o ile powinnyśmy ją naśladować w pierwszym, to nigdy w drugim, bo czas, żeby i nasi panowie umieli sobie przyszyć guzik lub zechcieli sami sprzątnąć pokój).

Sprzątanie. Zdawałoby się, że już to nie przedstawia żadnych trudności. Tymczasem i tu pozostawiamy wiele do życzenia.

Zamieść, wzbijając mniejsze lub większe tumany kurzu, potrafi każda, tak samo wymyć, wyczyścić umywalnię lub kuchnię, ale utrzymać porządek — prawie żadna.

Myjąc się, jedząc, ubierając czy ucząc — jednym słowem przy wszelkich codziennych czynnościach śmiećmy, rozrzucamy, przewracamy; żadna prawie nie położy nic na swoim miejscu, nie wyleje po sobie wody z miednicy. Za jedną robi to widocznie służąca, za inną pewnie matka. Ach, te mamy, które nas tak rozpieszczają!

O godz. 8-mej, gdy już wszystko gotowe — chwila ciszy, chwila skupienia; to wspólna modlitwa, i po paru minutach znów gwar i bieganie; to ustawia się długi „ogonek” z menażkami w ręku po kawę (z mlekiem!).

Ileż to z tych „panienek” pijało dotychczas herbatę tylko w szklance albo kawę tylko ze swojej filiżanki z takim czy innym kwiatkiem, tylko ze śmietanką lub bez kożuszków.

Tu po paru dniach zdziwień, skrzywionych i obrzydzonych minek pije się ze smakiem i często prosi o jeszcze, z tej samej menażki kawę, barszcz czy herbatę i umyć ją jeszcze trzeba potem. To ostatnie istotnie najmniej jest zabawne przy braku ściereki, tłustości jedzenia z koflami i t. p.

Po śniadaniu i raporcie porannym, sprawdzającym stan oddziału, ilość chorych, zwolnionych, pełniących służbę i t. p., zaczynają się o 8.30 zajęcia.

Ułożony z góry na tydzień rozkład zajęć wyznacza czas na przepisane wykłady i zajęcia praktyczne.

Niektóre z nich, przy których potrzebne stoły i tablice, odbywają się w jadalni, inne na dworze w cieniu drzew.

Tu więc, wpatrzone w doktora, przysłuchują się słuchaczki wykładowi higieny, tam przechodzi z rąk do rąk karabin lub pistolet, którego liczne części składowe trzeba za wszelką cenę zapamiętać.

Gdzieindziej któraś z komendantek wtajemnicza nas w obowiązki oficera inspekcyjnego lub poucza, jakie są rodzaje broni. Tam oficer gospodarczy zapytuje, co to jest książka materiałowa czy inwentarzowa.

W innym miejscu, pochylone nad mapą, biedzą się panienki, co znaczy ta lub owa linja czy punkcik. Wiele to każda z nich umiałaby wymienić przedziwnych archipelagów lub zatok, a jak trudno trafić jej na mapie lub w rzeczywistości z Zaleszczyk do Horodenki!

Tyle, tyle trzeba się nauczyć przez te cztery tygodnie. I. F.



KARTKI Z ŻYCIA

URLOP JAGUSI.

Wolska robiła rachunek ze służącą.

Był maj — więc rzodkiewki, sałata — no walje dla biednego chorego, który nic innego nie jadał. Ach, i ten wielki zbytek — trochę szparagów...

Westchnęła. Nie kupi sobie zato rękawiczek. Poceruje te, które ma. Muszą wystarczyć.

Wyliczenia były w porządku. Nic nie brakowało i nic nie zbywało, jak zwykle z sumienną, skrupulatną i uczciwą Jagusią.

Wydała rozporządzenia na dzień jutrzejszy. Dla pamięci spisała je na kartce i zostawiła w kuchni razem z pieniędzmi do miasta.

Robiła to zresztą codziennie, żeby unikać zbędnych przypomnień.

Podniosła się i miała już wyjść, gdy wtem Jagusia ze ścierką i rondlem, który wycierała, stanęła przed nią.

— Proszę pani, chcę się zapytać, kiedy będę mogła wyjechać do matki? Nic się o tem jeszcze nie mówiło...

Wolska spojrzała na nią swojemi zmęczonemi, spracowanemi i bezgranicznie smutnemi oczami.

— Może odłożymy tę rozmowę do niedzieli, przy swobodnym czasie? Dziś, widzisz, ledwie stoję. W głowie mi się mąci. Do łóżka... jaknajprędzej... o tem tylko myślę... A jeszcze z godzinę zejdzie przy panu...

Jagusia nie ustąpiła. Musi napisać do matki, wyznaczyć dzień. Tam listy nieraz miesiącami leżą w gminie, zanim się trafi sposobność. Więc trzeba zgóry. Nie może być żadnych niespodzianek, bo inaczej brat nie zdąży po nią z koniem i sama musiałaby iść te trzy mile, ciągnąc koszy z sobą... A jeszcze — jakby błoto i deszcz, to na nic ubranie.

Wolska usiadła. Może nawet i wytrzeźwiała trochę.

— Właśnie chciałam ci powiedzieć, że w tym roku musisz poświęcić swój urlop, pierwszy raz od lat dziesięciu, jak u nas jesteście. Może to jakoś będzie można urządzić w zimie na Boże Narodzenie. Obiecała przyjechać nasza wychowanka. Dwa tygodnie będzie miała wolne, więc zastąpi nas — mnie i ciebie przy chorym. Ale teraz... Słyszałaś — doktor kazał panu koniecznie być przynajmniej trzy miesiące w lesie. Trafia się pokój w Urloch przy krewnych. Wspólna kuchnia, wspólna służąca. Ty byłabyś tylko przy panu. A pan cały dzień w lesie. Więc miałabyś wypoczynek. Ja przyjeżdżałabym co sobotę po południu. Na niedzielę zwalniałabym cie-

bie. Mogłabyś robić, co zechcesz — choćby nawet wyjeżdżać do swoich przyjaciółek w Warszawie.

Jagusia rzuciła rondel i ścierkę, przybierając groźną postawę.

— Wspólna kuchnia — to znaczy, że ja musiałabym sypiać razem z tą jakąś tam...

— Bardzo porządna dziewczyna. Jest u moich krewnych nawet dłużej, niż ty u nas, bo całe lat dwanaście.

— Żeby tam nawet i dwadzieścia, to ja z obcą w jednej izbie nie będę.

— Kuchnia duża, jak dwa nasze stołowe pokoje. Możesz oddzielić swój kąt portjerą. Dam ci też z przedpokoju kuchennego.

— Dużo pomoże portjera, jak ja będę musiała wywachiwać jej smrody i słuchać chrapania...

— Najpierw — skąd wiesz, że chrapie? A powtóre — możesz zająć kąt pod oknem i otwierać je na noc. Będiesz miała świeże leśne powietrze.

Jagusia nie dała się przekonać. Albo pokój oddzielny i Urle, albo stanowczo żąda urlopu.

Wolska zapewniła ją, iż chętnie zaoferowałaby jej nawet całą willę, gdyby miała na to. No, ale tymczasem nie stać jej nawet na ten oddzielny pokój.

— Więc, co ja mam napisać do swoich, że kiedy przyjadę?

— Proszę cię, zostaw mi czas do namysłu. W niedzielę ci odpowiem.

Z głową spuszczoną, pochyloną, jak gdyby stupudowe ciężary powaliły ją ku ziemi, wyszła z kuchni. Poświęciła wszystko. Wzięła na czas urlopu swego płatne zastępstwo w biurze, żeby tylko podolać tym Urlopm i dać choremu biedakowi leśne powietrze.

Gmach, pracowicie obmyślony, krwawym trudem i mozolnemi zabiegami podźwignięcia bliski, runął.

Chory nie znosił obcej obsługi. Z jej rąk tylko i Jagusi, mało uprzejmej, prawie oburkliwej, ale gotowej zawsze na każde jego skinienie i wdrożonej jak automat do spełniania terminowych czynności — przyjmował posiłek, lekarstwa i wszelkie inne zabiegi.

Lubił też koło siebie Franulkę — wychowanicę, ale ta była daleko i urlop mogła dostać w zimie dopiero.

A lekarz sto razy powtarzał: las, las, las...

Wolska podeszła na palcach do łóżka chorego. Chciała z nim pomówić. Możeby przysłał na ładniutką, pulchniutką, miłą Zosię, córkę stróża, dobrą dziewczynkę.

Wzięłaby ją do Urli, a Jagusia niechby już pojechała na całe trzy miesiące do „swoich.“ Tylko jak z pensją? Dwie płacić? Ktoby wytrzymał? Jesienią mogłaby wrócić, gdyby chciała tam, u matki, przesiedzieć bez pensji.

Chociaż...

Pełne serce żalu i niesmaku uczuła do niej nagle.

Ngdy nie miała czasu zastanawiać się nad „sprawą służby domowej.“

Za dobrych lat, gdy mąż pracował, rzuciła się cała w wir robót społecznych, a hasłem jej było stosowanie przede wszystkim każdej humanitarnej zasady w domu swoim. Więc służba miała i coniedzielny wypoczynek, i coroczny urlop, i codzień dwie godziny wolne dla siebie — na wiele, bardzo wiele lat jeszcze przed zgłoszeniem do sejmu „Ustawy o pracownikach domowych.“

Od lat dziesięciu sama zarabiała na dom. Była dumna z tego i myślała tylko, żeby nie zbrakło na niczem choremu...

Aż tu naraz...

* * *

Jagusia okazała się nieustępliwą. Al o oddzielny pokój i Urle — nota bene — o ile były tam kościół blisko, żeby codzień mogła chodzić na mszę świętą, albo wyjazd do „swoich.“

Chory też nie chciał ustąpić.

Żadnych obcych twarzy, żadnych obcych rąk, żadnych córek siróżów, żeby były najlepsze.

Wolska zaciągnęła długoterminową pożyczkę i zrezygnowała z płatnego zastępstwa koleżanki w czasie swojego urlopu, żeby chociaż na miesiąc pojechać z chorym do lasu.

Jagusia postawiła na swoim. W liście do matki, miesiąc naprzód jak zawsze, oznaczyła dzień i godzinę swego przyjazdu. Nic nie mogło się zmienić. Jak co rok — od lat dziesięciu — wyjechała w poniedziałek, bo w sobotę chodziła zawsze do spowiedzi i komunji jako w dzień Matki Boskiej, należała bowiem do bractwa M. B. Różnicowej. A w niedzielę musiała być zawsze na sumie u Zbawiciela, gdzie Ojcowie Zmartwychwstańcy miewają śliczne kazania.

Jak co rok od lat dziesięciu, wróciła z urlopu nazajutrz po święcie Narodzenia Najświętszej Marii Panny, bo w tym dniu był w parafii odpust — na całą Polskę chyba jedyny. Przyjeżdżał sam biskup i dwu nastu księży, a posługiwało do mszy chyba ze trzydziestu kleryków.

al.



D W I E

Ładną a zarazem miłą ozdobę naszego pokoju stanowić mogą fotografie bliskich nam osób, ujęte w ramki, odpowiednie do całości umeblowania.

Ramki takie bardzo łatwo zrobić samej, posiadając kawałek materiału od pokrycia mebli lub jakieś resztki barwnych kretonów, lamy złotej albo deseniowego jedwabiu. Wielkość ramki powinna być zależna od fotografii, jaką oprawić chcemy, a dwie bardzo ładne formy ramek podajemy na rys. 1 i 2.

Robi się je w następujący sposób:

wykroić z tektury dość grubej dowolną formę i wyciąć otwór, potrzebny do oprawienia fotografii. Otwór taki może być okrągły, owalny lub prostokątny. Następnie dopasować szkiełko, które musi być trochę większe od otworu i niekoniecznie takiej samej formy: przy otworze owalnym lub okrągłym

może być czworokątne. Teraz trzeba obciągnąć formę tekturową dowolnym materiałem, przylepiając go po lewej stronie, starannie założony na kantach, a na linii owalu nacięty (rys. 1a. 1b).

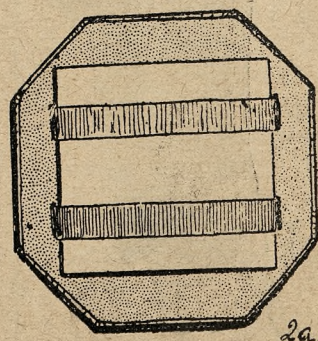
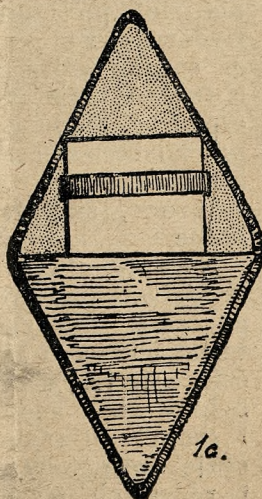
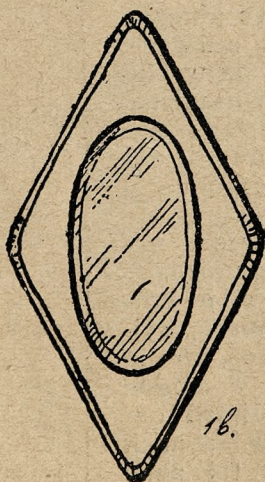
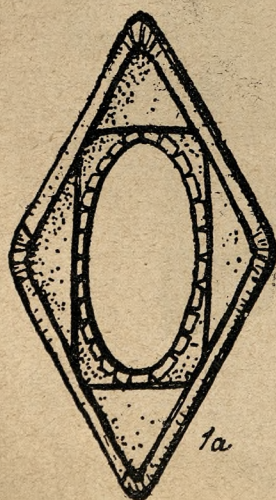
Na lewej stronie tak przygotowanej ramki nalepiamy jedną lub

dwie gumki, ale wtedy te gumki powinny być przyszyte do ostatniej nalepianej ztyłu tektury, bo przylepienie, nie będą się dość mocno trzymały

Ramkę od zewnątrz wykończą się i ozdabia jedwabnym lub złotym sznureczkiem, grełkami albo chwastami.

RAMKI

kilka tekturek, których wewnętrzna strona musi być wycięta podług wielkości szkiełka, a grubość powinna być trochę przewyższać włożone w otwór szkiełko. Ramka już gotowa do oprawienia fotografii, którą można umocować różnymi sposobami: zalepić cały tył ramki na moc papierem odpowiedniego koloru albo przyklepić od dołu rodzaj kieszonki, podtrzymującej fotografię, a od góry przymocować ją wąską gumeczką, jak na rys. 1c lub też umocować ją tylko za pomocą dwóch naciągnię-



FUTRA

Gdy ranny szron srebrzy klomby wiernych przyjaciół jesieni, aster, barwnych i misternie fryzowanych, kiedy silne i rozgałęzione sztamy róż herbacianych, odporne na chłody, dają nam codzien nowych kilka pąków, jarzębiny, koralami strojne, królewską purpurą rzucają splendor na krajobraz jesieni, a bogate cienie szkarłatu i złota, którymi kokietuje nas przed smutnym okresem szarzysty i martwoty, grają w słońcu radosną poświatą, to epoka wskrzeszenia futer!

Ubiegłe lato nie było zbyt bogate w słońce i upały, to też sen naszych lisów, skunksów, kretów i gronostaj trwałzaledwie krótki czas, w ciągu upalnej i cudnej tegorocznej wiosny, kiedy rozstałyśmy się z nimi tak chętnie, znużone jednostajnością zimowego sezonu.

Zaledwie jednak wiosna otrząsnęła ostatnie płat-



Otóż w pierwszym rzędzie małe kołnierzyki, zwierzątka, wyprawione z łapkami, łbem i ogonem, lub kawałek futra, zakończony kokardą i zapięty na szyi na kształt kołnierzyka.

Następnie etole, w rodzaju niewielkich pelerynek, okładane futrem odmiennym lub wziętym poprostu włosem w stronę przeciwną. Lisy wspinały syberyjskie, Alasca, niebieskie i białe, a i nasze swojskie, tak pięknie farbowane i wyprawiane, krety, szyte misternie z kwadracików, pasków lub prostokątów i jeszcze nie przeżywające się widocznie nigdy skunksy i ich piękne imitacje, szyte w kształcie szerokich pasów, składających się z czterech czy pięciu długich kawałków futra, zakończonych ogonami lub poprostu ze sobą łączonych i dokoła takimż pasem ujętych. Modne też będą bardzo wszelkie kombinacje z tak zwanych, tok elektrycznych w



ki ze śnieżnych akacjowych kiści, chłód zdradziecki wypełził z za chmur deszczowych i gradowych, kazał nam sięgnąć do skrzyń zamczystych, aby odrzucając zwiewne szale i pajęczą iluzję, otulić ramiona, z letnich wyglądające sukien, ciepłym, rozkosznym puchem futrzanych etoli i kołnierzy.

Sądzę, że żadna z nas nie odważyła się wybrać w tym roku na letnie wywczasy bez futra, co utrudniło zastosowanie się do dobrego i wygodnego zwyczaju, przerabiania i modernizowania ich w sezonie letnim; co gorsze, przepadł dla futer naszych okres „odleżenia się”, po którym nawet te, co wydawały się pod koniec ubiegłego sezonu zniszczone i nieświeże, a skazane tem samem na wykluczenie z rzędu godnych noszenia, po kilkomiesięcznym letargu nabierały nowych powabów, a odświeżone, stawały się modne i ładne.

Niestety, w tym roku trzeba mistrzostwa, aby w przeciągu krótkiego czasu, jaki dzieli nas od powrotu do miasta a konieczności wyjścia w futrze, stworzyć coś, co nie byłoby zbyt kosztowne a modne i ładne! Przyspieszy i ułatwi decyzję zorientowanie się w fasonach i rodzajach, jakie będą tej zimy i jesieni najwięcej noszone.





skunksów podnosi dziewczaczość centkowanej skóry i uwypuszcza jej kapryśny urok.

W dziedzinie futer sportowych zajmuje też poważne miejsce foka, mieszana, jak powyżej, odcieniami lub całkowicie czarna, dana wzdłuż i obłożona szerokim poprzecznym pasem.

Jeżeli w zabytkach naszych znajdują się jako wspomnienia o przeszłości sobole, sądzę, że zbytecznym będzie przypominać, iż stanowią zawsze jeden z pożądanych dodatków tak przy kostjumie, jak sukni wieczorowej czy wizytowej.

Jeszcze słówko o sposobie noszenia etoli.

Najkarygodniejszym z odchyień będzie przetrzucenie jej, „po dawne-

mu“, przez ramię; krzyżuje ją się dzisiaj tylko z przodu! Oto przykazanie ostatniej chwili.

Dla małych dziewczynek śliczne są baranki szare i białe. Skórka ich,



dwóch kolorach n. p. czarnym i platynowym. Etole robi się wówczas w pasy. Płaszczko ozdobić można, okładając dół, mankiety i kołnierz, co wygląda, nadzwyczaj oryginalnie i elegancko.

Dla młodej panienki śliczny jest kołnierz w kształcie małej pełerynki oraz mufka z białych chińskich królików, wykończane gronostajowymi ogonkami.

Płaszczko fokowe, krótkie, przeważnie długie na równi z suknią lub odsłaniające ją na 10—15 cm. Kołnierze, zapinane pod szyję lub otwierane szeroko z wywiniętymi klapami. Rękawy zawsze szerokie i obłożone przy rękach futrem, z którego jest zrobiony kołnierz, lub mankietem z tego samego futra co płaszcz, o ile ten nie jest niczem przybierany.

Futra sportowe krótsze i zupełnie krótkie kurtki muszą być dobierane z myślą o śniegu, który będzie im najczęściej, a nawet prawie jedynie, tłem.

Za najudatniejszy i najefektowniejszy kontrast z nieskazitelną białą śniegów górskich uważaną jest skóra pantery jako sportowy „trois quarts“, na tło zimowego rzucanego krajobrazu. Ramowanie z naturalnych



mięka i podatna, układa się łatwo, a wyłożony duży kołnierz, guziki i czapeczka z tegoż futerka dopełniają całości wytwornej i eleganckiej.

Grupa, złożona z czterech, zaledwie paroletnich, figurek, jest ubrana w modne i pomysłowe futerka.

Pierwsze—imitacja gronostaj (króliki białe), okładane kasztanowym barankiem, krojonym w strzałki; drugie—białe jagnięta; trzecie i czwarte—także „gronostaje“, z których pierwsze okładane szarym barankiem, drugie ubierane prawdziwymi ogonkami gronostajowymi.

Do każdego z tych futerek czapeczka odpowiednia i biały „eskimosik“, zważywszy na lekkość i szeroki a krótki fason nie chroniący zbyt dobrze ciała dziecięcego od chłodu i wiatru.

Dla chłopców mniejszych i średnich odpowiednie a praktyczne będą kozy szare, czarne i brązowe.

Są one niedrogie a stosunkowo do ceny wytrzymałe.

Do futerka takiego czapeczka z baranka odpowiedniego koloru wykończy i podniesie wygląd całości.

JAK SIĘ BAWIONO ZA PIERWSZEGO CESARSTWA?

Głośne czytania. Śpiew przy mandolinie. Kawki, herbaty i obiady proszone. „Muzeum”. Symposiony antyczne. Mitologia na balach kostjumowych i w żywych obrazach. Późne zabawy. Triumf walca. Dzieci na balach. Tragiczny festyn księcia Szwarzenberga.

Nowe formy współżycia wytwarzają nowe, nieznane przedtem postacie rozrywek. Już nie przymus konwensu, ale wolny dobór i zgranie się duchowe stają się cementem, spajającym towarzystwo. Już nie galanteria jest jego rdzeniem, ale chełpiący się swymi zdobyczami intelekt. Celem zebrani towarzyskich jest jego kształcenie. Wchodzą w modę wspólne czytania. Czyta się n. p. sztuki teatralne, rozbierając poszczególne role między uczestników, albo też jedna osoba czyta głośno, a ręce słuchających dam są zajęte robótkami. Tak bawił się dwór wejmarski księżnej Anny Amalii; pani radczyni Goethe opowiada nam z entuzjazmem o zebraniach u Bethmana, Schwarckopfa, gdzie czytano głośno Don Carlosa i Wallensteina. Klemens Brentano czyta w Jenie z młodemi panienkami świeżo wyszłą z druku „Lucyndę”. Goethe na swoich środach ma dla swych gości wykłady. W Berlinie Henrietta Herc zgromadza dobrane kółko beletrystów, w Halli dom kapelmistrza Reicharda staje się ośrodkiem kółka melomanów. Zbiorowy śpiew i muzyka chętnie były uprawiane w rodzinach i między przyjaciółmi, o czym świadczą liczne obrazy i sztychy z tych czasów oraz pieśni, rozproszone po romansach, almanachach i innych wydawnictwach.

Mandolina, gitara są w rękach wszystkich. Klemens Brentano nie rozstaje się z nią nigdy, jej dźwiękiem zdobywa sobie łaski pięknych dziewcząt i nie gorszy się wcale, gdy zachwycone śpiewem i urodą czarnowłosego młodziana, same rzucają mu się w objęcia. Było ogólnie przyjętym zwyczajem, że kawaler, pragnąc okazać swe uczucie damie, śpiewał na jej cześć tkliwie pieśni przy akompaniamencie mandoliny. Gitara na błękitnej wstążce pozostaje w niejednym domu, jako milcząca pamiątka dawno przebrzmiałych amorów. Naogół instrumenty ściśle strunowe mają pierwszeństwo nawet przed klawikordem. Z takiego kółka śpiewaczego o czysto towarzyskim charakterze powstała Akademia śpiewu w Berlinie, której członkowie początkowo zbierali się dwa razy na tydzień w prywatnym mieszkaniu, a od roku 1794 w owalnej sali Akademii. W r. 1797 należało do niej 70 osób.

Herbata powoli ruguje kawę na zebraniach towarzyskich. W końcu w. XVIII „porą herbatnią” była g. siódma. Podczas obiadów proszonych zastawia się stół kilkakrotnie wielką ilością półmisek z pieczysem, drobiem, rybami, pasztetami, sałatami. Ta zastawa zmienia się dwa do trzech razy, nakoniec podaje się komplet legumin i słodczy. Za każdym razem gospodarz usilnie zaprasza i namawia do jedzenia. Z jarzyn i owoców szczególnie poszukiwane są te, których brak w danym sezonie. Książę Vicenza kazał sobie podawać w Petersburgu zimną wiśnię po 5 rubli sztuka i gruszki po luidorze. Wzrastająca drożyzna ograniczyła stopniowo zbytek w jedzeniu. W r. 1800 pewna dama pisze z Hamburga, że wobec ciężkich czasów mogła podać swoim gościom tylko cielęcinę i karpie.

Jako środowiska towarzyskich i umysłowych rozrywek powstają przedsiębiorstwa, znane pod nazwą „Muzeum”, rodzaj klubów, w których członkowie za roczną opłatą mogli korzystać z biblioteki, sali do gry i cukierni. W początku w. XIX jest już sporo takich zakładów w Niemczech, n. p. w Dreźnie, w Lipsku, w Hamburgu, we Frankfurcie.

Prąd antykizujący, właściwy tej epoce, ujawnił się silnie również w uroczystościach, festynach i zabawach. Jeszcze przed Rewolucją piękna malarka Vigée Lebrun urządziła symposjony w stylu klasycznym. Goście w antycznych strojach spoczywali na łożach, pili z pucharów wino, które im nalewały z amfor urodziwe pachołeta. Na wielką skalę w tym samym rodzaju aranżował Dawid słynne obchody w Paryżu. Styl antyczny utrwalił się na całe dziesiątki lat w oficjalnych uroczystościach i galach, które obejść się nie mogły odtąd bez dekoracji świątyni, szablonu nimf, kapłanek i całej rekwizytorni klasycznej.

Ten prąd zapanował i w rodzinnych kołach. Kiedy stary pan Mantuffel obchodził w Kurlandji dzień swych urodzin, córki na jego cześć urządziły sztuczny gaj z ołtarzem, na którym same miały składać ofiary. Goethe i Wolf zostali uwiecznieni przez młode dziewczęta w Helmstadzie pod Essen. Książę Borgheze na balu, który wydawał w ro-

ku 1810 w Paryżu, kazał potrząsnąć posadzkę na sali i wszystkie aleje ogrodowe różanemi płatkami, jak to czyniono za rzymskich cesarzy. Na balach kostjumowych układano całe grupy mitologiczne.

Przesadne znaczenie, jakie w życiu nadawano malowniczości, wprowadziło i do rozrywek pewien rys artystycznego doktrynerstwa: upodobanie do żywych obrazów, wdług dzieł znakomitych mistrzów.

Podczas Kongresu Wiedeńskiego w 1814 r. żywe obrazy robiły furorę i rozpowszechniły się odtąd po wszystkich krajach Europy i we wszystkich sferach towarzyskich. Niemalą rolę odgrywała tu próżność. Co za gratka: mieć okazję, zwrócenia na siebie uwagi całego towarzystwa.

Pomimo pozornej demokracji, wyższe sfery starały się wyodrębnić od niższych późną porą posiłków. Przypominały w tem owego króla z anegdoty, który obiad jadał zawsze „nazajutrz”, żeby się wyróżnić od hołoty. „Poranne” wizyty załatwiała się w Paryżu w roku 1803 między 2-gą a 5-tą po południu. Hrabia Lucchesini zaprosił do siebie gości na kolację na g. 2-ą w nocy.

W Londynie obiad jadało się między 6-ą a 7-ą wieczorem, a lady Giordina Gordon posunęła swój wykwin tak daleko, że kazała podać obiad dopiero... o 3-ej nad ranem. Hrabiny Osmond i Boigne przybyły na wieczór w Herfort House po północy i były pierwsze. W 1807 r. w Wiedniu rozpoczął się bal u hrabiego Palffy o 11 wieczorem, a skończył się o 8 rano śniadaniem.

Taniec był zawsze najulubieńszą rozrywką młodzieży, a w tych właśnie latach na posadzki salonów wkracza nieznany tam dotąd parwenjusz i zdobywca serc — walc triumfator.

Kiedy Goethe każe Wertherowi i Loccie wirować w walcu „jak dwie unoszące się sfery”, wówczas taniec ten jeszcze niewielu osobom był znany i dostępny. W 20 lat później zapanował wszechwładnie.

W r. 1810 na monachijskich balach tańczono 9 rodzaj walców. Zwycięstwo nad menuetem, gawotem, sara-bandą dawnych dobrych czasów było kompletne, ale przyszło niełatwo. Ten, jak mówiło starsze pokolenie, „sprzymierzeniec suchot i śmierci”;

nie tylko niszczył zdrowie, ale podkopywał moralność. Nazywano go „tańcem zawrotnych rozkoszy“, tańcem „skandalicznym“, który wstyd przynosi niemieckiej przysłowiowej powadze.

Księżna Ludwika Radziwiłłowa opowiada w swych pamiętnikach, że obie księżniczki meklenburskie (późniejsza królowa pruska Luiza i jej siostra) poraz pierwszy odważyły się zatańczyć walca na balu dworskim w Berlinie 24-go grudnia 1794 roku. Fryderyk Wilhelm II był zachwycony, ale królowa odwracała oczy ze zgorzleniem i zabroniła własnym córkom naśladować tej ohydy. Na dwór petersburski wprowadziła walca w 1798 r. metresa cara Pawła, księżniczka Anna Łopuchina. Kiedy księżę Devonshire, wówczas jeszcze młody i bezzenny, powrócił z podróży po kontynencie, wyrażał się z zachwytem o walca wiedeński. Wszystkie młode damy zaczęły się go uczyć na wyścigi. Na najbliższym balu księżę przyglądał się długo i uważnie wirującym parom i wreszcie oznajmił, że nie zaślubiłby nigdy panny, która tańczyła walca. Chciano koniecznie w tańcu widzieć rozgrywający się dramat namietności.

A jednak zwyciężył melodyjny uwodziciel, taniec „tęsknej czułości“ i „lekkomyślniej pustoty“. „La française“ poszła w zapomnienie nawet w swej własnej ojczyźnie.

Ku wielkiemu zdumieniu Reichhardta w r. 1803, w Paryżu tańczono ją przy głośnie komendzie, ponieważ nikt już nie mógł połapać się w figurach.

Wydaje nam się dziś rzeczą dziwną, że wówczas dzieci uczęszczali na bale dla dorosłych. Sentymer-

1809—1810 roku, bezpośrednio przed małżeństwem Napoleona z Marią Ludwiką. Modnymi tańcami był menuet, gawot, monaco i tréviz. Dobry tancerz miał karierę zapewnioną na każdym polu.

U kresu długiego łańcucha świetnych zabaw płomiennymi głoskami

„Mane, Tekel, Fares“ wyrzył się w historii tego nieustającego karnawału festyn księcia Szwarzenberga pierwszego lipca 1810 r. Sala balowa zgorzała, a mnóstwo dam najlepszego towarzystwa znalazło straszną śmierć w płomieniach lub pod stopami uciekających.

Tak zginęła księżna Szwarzenbergowa, na próżno szukając córki, która ocalała, aby w 40 lat później być rozstrzelaną podczas powstania w Pradze.

Przy tem całym szaleństwie zabaw, jaki brak najprostsz-

ych gód i komfortu! Pierwsze stolice świata, jak Rzym, Paryż, Londyn, toną poprostu w brudach i niechlujstwie.

Wskutek braku urządzeń sanitacyjnych, powietrze w miastach jest stale zatrute. W Londynie już w r. 1800 w każdym domu wymagany jest waterklozet, ale jak długo trzeba było czekać, aby ta pożyteczna inowacja przewędrowała na kontynent! O ileż szybciej przyswajano sobie wynalazki w dziedzinie mody. Długie spodnie i angielski riding coat miały więcej szczęścia od waterklozetów.

Spero



talna pani Tallien wylewała łzy rozrzewnienia na widok płasów swej dwunastoletniej córki. Pani Humboldt pisze, że jej ośmioletnie córki były wprost rozrywane na balach. W Paryżu młodzież tańczyła od 10 do 12, potem zasiadała do kolacji, a wtedy starszyzna puszcza się w płasy. Rozhulany Paryż, który w 1796 r. opustoszałe klasztory czempredzej przerabiał na sale balowe, a na cmentarzu Saint Salpice urządzał bale zefirów pośród nagrobków i płyt grobowych, za Cesarstwa przeżył swój najświetniejszy sezon zimą

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

(Dokończenie)

Niektóre z nich mogą nawet powodować schudnięcie, lecz to będzie stan patologiczny. Niewątpliwie sól karlsbadzka lub też gorzka, używana w granicach dozwoleń, wedle wskazówek lekarskich, powodują regularne wypróżnienia, tem samem polepszają przemianę materji — dają niekiedy dobre rezultaty.

Ze środków zewnętrznych kąpiele słone mogą mieć znaczenie, jak również wogóle kąpiele.

Natomiast cudowne mydła na schudnięcie lub pompki pneumatyczne poprostu są humorystycznym naciąganiem naiwnej publiczności.

W najnowszych czasach podają za nowy środek korę z pewnego drzewa amerykańskiego. Środek ten zasługuje na uwzględnienie, albowiem osobiście stwierdzić zdołałam poważne wyniki, wypróbując tylko w niewielkiej ilości (z powodu trudności zdobycia tej kory). W jesieni zaczęłam stosować na wielką skalę, mam nadzieję, że z dobrym wynikiem.

Poza środkami farmakologicznymi, przy nadmiernej otyłości musi być stosowane odpowiednie odżywianie racjonalne. A więc, jak najmniej płynów, ciast, tłuszczów, słodczy. Potrawy lekkie, lekko strawne; należy dbać o regularne

trawienie, nie przekarmiać się, ale nigdy nie głodować, gdyż łatwo wpaść w ostateczność, osłabić się i zachorować na anemię.

Tabliczka z odżywianiem nie może być ściśle podana: zależy to od wieku, stanu ogólnego, przebytych chorób, ilości ruchu, ilości pracy i wielu tym podobnych czynników. Ogólnie można podać tyle: rano: herbata ewentualnie mleko, sucharki, jaja, miód. Obiad: odrobinę zupy (jeżeli ktoś jest tak przyzwyczajony, że bez zupy nie może się obyć), mięsa dosyć, dużo jarzyn wszelkiego rodzaju, na leguminę kompot. Podwieczorek: herbata, sucharki, owoce jaknaj-

więcej. Kolacja: dla słabych—mięso, jarzyny i kompot, dla silniejszych—jarzyny i kompot.

Dużo sałat, sosów, niezbyt ostrych, urozmaicić muszą ten monotony sposób odżywiania się, ale trudno, cóż kobieta nie wycierpi, byle zachować modną sylwetkę!?

Następnym środkiem na schudnięcie jest masaż, który, regularnie i umiejętnie zastosowany, daje cudowne rezultaty.

Bardzo ważnym warunkiem masażu dobrego musi być nie tylko umiejętna siła, dobrze wykwalifikowana, ale zarówno zupełnie zdrowy organizm masującej się kobiety. Każdy organizm przed zaczęciem masażu musi być zbadany pod względem ginekologicznym jak również wewnętrznym przez lekarza. Wszystkie choroby kobiece, uśpione, chwilowo zażegnane, a także choroby wewnętrzne, np. ślepa kiszka w stadium chronicznym, kiedy chory nieraz nie wie nawet o swym cierpieniu, może dać silne, gwałtowne zadrażnienie i nowy ostry atak.

Zarówno oględziny lekarskie zewnętrzne są konieczne, np. żylak. Absolutnie przestrzec należy przed masowaniem żyłaków. Sama widziałam wypadek żony kapitana, której własny mąż, nie rozumiejąc ogromu nieszczęścia, które sam spowodował, rozmasował nogę z żyłakiem. Skrzep poszedł do mózgu, zaczopował arterję, nastąpiło porażenie, a po kilku miesiącach mężczyźni—śmierć.

Należy więc jak i w wyborze masażystki, tak też nawet czasem w zbytecznej troskliwości o zdrowie, być za ostrożnym, niż lekceważeniem sprawy spowodować katastrofę.

Przy masażu ożywia się krążenie krwi, następuje lepsza przemiana materji, uspokojenie nerwów, no i to, o co najwięcej chodzi—osiągamy schudnięcie.

Wreszcie gimnastyka — wszelkie jej rodzaje dają nadzwyczajne wyniki, nie tylko co do kształtów, wpływając na ich harmonijność, lecz nawet zmieniają ruchy.

Czyż może kobieta być estetyczną, gdy chodzi jak kaczką, rusza się jak foka na lądzie, a siada jak hipopotam (o ile wogóle hipopotamy siadać potrafią)?



Jakie rodzaje gimnastyki polecić można, wypowiedzieć się dość trudno, albowiem w poglądach i systemach obecnie zachodzą wielkie i zasadnicze zmiany. Dawniejsze systemy gimnastyki niemieckiej i szwedzkiej mają obecnie bardzo wielu przeciwników. Zresztą, przy stosowaniu gimnastyki jako środka, utrzymującego organizm w stanie fizycznego zdrowia, mniejszą rolę odgrywa system, a większą systematyczne stosowanie go.

Dla kobiet najlepszą bezwzględnie jest gimnastyka plastyczna, gdyż poza ruchami, ćwiczącymi mięśnie, stawy, płuca, serce, przekształca ruchy, nadaje im miękkość, elastyczność, giętkość i harmonijność.

Zupełnie inaczej gimnastyka musi być prowadzona dla mężczyzn, inaczej dla kobiet. Dla ilustracji przytoczyć należy chociaż jeden przykład—ruch wypadu. Dla mężczyzny musi cechować siłę, energję, przemoc. Cała postać musi mówić: „Biorę!” Kobieta zaś w tym samym ruchu musi okazać pewną miękkość, podatność, lecz jednocześnie pewne wahanie, zastrzeżenie i warunki.

Plastyczna gimnastyka daje nam syntezę ruchu. Przy systematycznym jej stosowaniu nie tylko wytworza ona harmonję zewnętrzną, lecz wpływ odbija się także na życiu wewnętrznym.

U nas, w Polsce, ten odłam gimnastyki zastosowany został w Drużkach, w zakładzie leczniczym. Ćwiczenia odbywają się na powietrzu, w słońcu, bez ubrań.

Duszą tej pracy jest doktor Lewicka, która oddaje się jej z praw-

dziwym zapałem i poświęceniem.

O rezultatach osiągniętych najlepiej świadczy fakt, że tegoroczna wycieczka lekarzy i profesorów uniwersytetu, z prof. Sobotowskim na czele, wyraziła swe najwyższe uznanie i aprobatę. Jeżeli nie można sobie pozwolić na lekcje gimnastyki, należy kupić małą książeczkę Müllera „15 minut dla zdrowia”. Narazie nic równie dobrego nie mamy. Książeczka ta jest przestarzała i ma mnóstwo braków, musi jednak tymczasem wystarczyć, albowiem zabiera mało czasu i każdy może sam przerabiać te ćwiczenia w domu.

Gimnastyka ta, o ile jest stosowana systematycznie, daje wielkie korzyści dla zdrowia, bo działa na przewód pokarmowy, aparat oddechowy i krążeniowy, system nerwowy i mięśniowy, wpływa na estetyczny wygląd, daje młodzieńczy, harmonijny i pełen wdzięku ruch i co zatem idzie, odmładza cały organizm.

Wreszcie polecić można tańce, byleby tylko w higienicznych warunkach, wszelkie sporty, jak: pływanie, wiosłowanie, gry na świeżym powietrzu, konna jazda, codzienne konieczne dalsze przechadzki — to są jedyne wskazówki dla utrzymania pełni sił i młodości do jaknajdłuższego okresu czasu.

Przy wychowaniu młodzieży — zwłaszcza dziewcząt — chłopcy są o wiele racjonalniej wychowywani — należy przedewszystkiem uwzględnić wyżej wymienione zasady. Nie ma obawy, że sporty wpłyną na zatracenie kobiecości, zresztą słusznie cenionej. Należy tylko trochę zreformować pojęcie tej kobiecości.

Boć przecież słaba wola, podporządkowanie się niemądre i nieuzasadnione mężczyźnie w każdej sytuacji i w każdej niemal drobności, niewiara w swoje siły, niezaradność — to nie są dodatnie cechy kobiece — a dbać należy o wszystko to, co się temu przeciwstawi.

Kobiecość zaś, ta czysta, w najidealniejszym tego słowa znaczeniu, tylko zyska od przyswojenia sobie siły woli, poczucia własnych sił, a co zatem idzie — godności; wzmożona do potęgi, trwać będzie do skończenia świata.

Dr. J. Świtalska.



WINO JABŁECZNE

Olbrzymi w tym roku urodzaj jabłek i w okolicach, dalej od kolei położonych, utrudniony ich zbyt niejednej właścicielce sadu poważny kłopot sprawia. Szkoda patrzeć na te łamiące się pod ciężarem owocu drzewa i myśleć, że ten owoc pracy wieloletniej około tego sadu musi się zmarnować. Zbytu na nie w okolicy niema, wszędzie taki sam dostatek, a nawet nadmiar; o dalszym przewozie nawet marzyć nie można. Wydatek na tarcie, robotę skrzyń, zbiór, pakowanie i przewóz kolejną przy niskich cenach owocu, drogiej robociznie pokryć nie będzie w stanie. Ach! gdybyż już u nas wszędzie istniały fabryki win owocowych, jak na Pomorzu, w Małopolsce, Warszawie, Wilnie i t. p. Niestety, tymczasem kresy szczególnie ich nie mają wcale.

Każdy jednak może niedużym kosztem na użytek własny kilkadziesiąt lub kilkaset butelek takiego wina wyprodukować.

Wyborne takie domowe wino piłam u ks. dziekana W. na Łotwie (dawnych Inflantach polskich) i przepis dokładny tego wina cytelniczkom „Bluszczu” podaję.

Dowolną ilość jabłek dojrzałych, soczystych utrzyć na tarce lub przepuścić przez maszynkę, pozostawić tę masę na 24 godzin w jakimś naczyniu, poczem zlać do płóciennego worka i wycisnąć jak najdokładniej. Na wiadro (12 litrów) takiego soku bierze się od 5 do 7 funtów (2 do 3 kg. prawie) cukru, rozpuszcza go zupełnie w części płynu i wlewa do reszty. Płyn ocukrzony wlewa się do dużych gąsiorów (takie gąsioro po kwasie siarczanym można nabyć w składach aptecznych). Narazie obwiązuje się szyjkę gąsiora muslinem lub merlą i trzyma tak dwa dni, poczem się gąsioro ściśle zakorkowuje dużym korkiem, przez który jest przeprowadzona rurka szklana. Korek się umocowuje sznurkiem lub drutem, aby przy burzliwej fermentacji nie wyskoczył i zalewa wkoło parafiną, aby powietrze zupełnie do wina dostępu nie miało. Na rurkę szklaną zakłada się rurkę gumową, której drugi koniec umieszcza się w butelce, napełnionej wodą.

Gąsior z towarzyszącą mu butelką stawia się w ciepłym pokoju. W parę dni potem zaczyna się okres fermentacji, który trwa zwykle około dwóch miesięcy. Gdy fermentacja ustanie, rurkę szklaną wraz z gumową się usuwa, wstawia nowy korek lub też otwór w starym zalewa parafiną i gąsior prze-

nosi w chłodne miejsce, na przykład do suchej piwnicy. Tam ponownie stać musi około miesiąca, w którym to czasie męty drożdżowe osiadają na dnie, a piana zbierze się na górze.

Wino samo sklarowane cedzimy przez warstwę waty higroskopijnej do czystych, suchych butelek, korkujemy je rozparzonymi w wodzie korkami, zawiązujemy drutem i układamy leżąc w piwnicy.

Chcąc mieć wino bardziej klarowne, należy je filtrować przez bibułę bez filtrowania, jednak i cedzone przez watę jest już bardzo czyste.

Butelkę należy używać bardzo mocnych; butelki z cienkiego szkła, na przykład wódczane, zwykle pękają, gdyż wino to, dobrze zrobione, musuje jak szampan.

Po miesiącu leżenia można je już używać, ale właściwy smak i aromat rozwija się dopiero wiosną następnego roku.

Moc wina zależy od ilości użytego doń cukru. Leżąc lat parę, staje się coraz lepsze, przeważnie jednak przestaje musować.

Sama dotąd tego wina nie robiłam, mam jednak zamiar, w myśl tego, że zawsze każdego przepisu próbuję, zrobić gąsior chociaż jeden; boję się jednak, że przy warszawskich wysokich cenach jabłek wino mię to drożej będzie kosztowało, niż kupione w najdroższej firmie.

Przepis autentyczny otrzymałam od wyżej wzmiankowanego ks. Dziekana W., który od lat kilku to wino z doskonałym zawsze rezultatem wyrabia.

Pani Elżbieta



WARZENIE MIODU

Podaję tu bardzo stary, wielokrotnie przez moją kuzynkę wypróbowany sposób. Dzisiaj, kiedy w każdej większej pasiece jest centryfuga do miodu, nie potrzebuje wskazywać, w jaki sposób należy oddzielać miód od wosku, gdyż miód centryfugowy jest zupełnie czysty.

Garniec miodu rozprowadzić pięciu garncami gotowanej, ciepłej wody, pozostawić w temże naczyniu przez 24 godziny, często mieszając łyżką aby miód się doskonale rozpuścił. Przecedzić go przez worek sukienny lub flanelowy (worek taki powinien być przedtem już kilka razy prany, aby był bardzo gęsty).

Połowę płynu wlać do kotła i zmierzyć patykiem, zakarbować na patyku miejsce, do którego płyn sięga, wlać resztę i zacząć warzyć do chwili zagotowania na mocnym, potem na wolnym ogniu. Gdy się wygotuje do ilości oznaczonej, dolać powtórnie połowę wody zimnej, rzecznej i powtórnie warzyć do połowy; przy powtórnej warzeniu wkłada się do woreczka ze starego cienkiego płótna ćwierć funta dobrego chmielu, a w drugim mniejszym woreczku muslinowym — korzenie: łaskę cynamonu, dziesięć goździków, szczyptę kordymonji, cał wanilii i pół gałki muszkatołowej. Po uwarzeniu powtórnie zlać ciepły jeszcze płyn do dużego gąsiora lub lepiej baryłki czystej, dębowej; gdy ostygnie tak, że będzie miał temperaturę świeżo udojonego mleka, włożyć dobrych drożdży, nasmarowanych na mały obwarzanek przekrojony i napowrót złożony. Pozostawić tak niezakorkowany lub przykryty tylko czystym płótnem na dni 12 do dwóch tygodni. Miód przez ten czas przebywa okres fermentacji.

Gdy piana zczernieje, co jest znakiem, że ostra fermentacja skończona, cedzi się miód ponownie przez worek sukienny, zlewa do czystego, suchego gąsiora lub baryłki dobrze wysiarkowanej, korkuje mocno butlę lub szpuntuje baryłkę i stawia do piwnicy.

Chcąc, aby miód miał kolor czerwony, należy wrzucić weń przy końcu warzenia kawałek rozpalonego żelaza. Po pół roku można zlewać w butelki; im dłużej stoi, tem się staje lepszy. To jest nieduża proporcja na 12 butelek.

Chcąc wyzyskać należycie czas pracy, należy brać przynajmniej cztery takie proporcje.

STAROŚWIECI KWAS MIODOWY

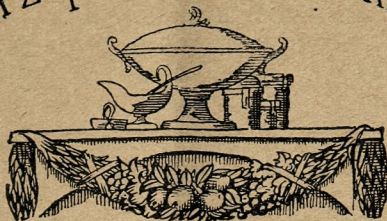
Wyborny sposób zużytkowania gorszego miodu, otrzymanego przy przetapianiu woszczyny z plastrów na wosk. Bierze się pół funta rodzonek (najlepiej sułtańskich, ale mogą być i każde inne), pięć cytryn, pokrajanych w plasterki, cztery funty miodu, składa wszystko do baryłki, zalewa trzydziestu butelkami gorącej wody, zagotowanej koniecz-
nie.

Skoro wystygnie, wkłada się w to cztery łyty drożdży i trzy łyżki mąki pszennej. Po dwudziestu czterech godzinach dodaje się jeszcze sześć butelek wody gotowanej, jednak teraz już zupełnie ostudzonej. Skoro rodzynki i cytryny wypłyną na wierzch, odrzuca się je starannie, czysty kwas zlewa do butelek, uważając, aby fusy z mąki pozostały na dnie (można też mętny płyn przecedzić przez flanelę i watę). Butelki mocno zakorkować, korki obwiązać szpagatem lub drutem i trzymać leżące w zimnym miejscu. Jak każdy inny kwas można go pić już po paru dniach. Trzymać go można około miesiąca, poczem się staje zbyt ostry do picia.

BORÓWKI NA MIODZIE.

Można na to użyć miód gorszy, otrzymany przy przetapianiu plastrów na wosk. Borówki oparzyć wrzątkiem na przetaku, powtarzając to trzy razy, co im odbierze gorycz. Na funt borówek bierze się pół funta miodu. Na funt miodu szklankę wody. Naprzód się zagotowuje syrop, na wrzący wrzuca borówki, zagotowuje na mocnym, poczem dalej smaży na wolnym ogniu. Skórki pomarańczowe suszone gotuje się w wodzie aż zmiękną; o ile uprzednio biała skórka z nich nie była usunięta, skrawa się ją starannie, żółtą skórkę kraje w paski i wysypuje łyżkę kopiastrą takich skórek na każdy funt borówek; gdy borówki już się stają przezroczyste, dodaje się jabłek, obranych i krajanych w ćwiartki, licząc jedno duże jabłko na funt borówek. Gdy jabłka się rozgotują zupełnie, składa się konserwę do kamiennych garnków jeszcze gorącą; zupełnie; po zastygnięciu zupełnie obwiązuje się garnki pergaminem i przechowuje w suchym miejscu. *Pani Elżbieta,*

Przepisy gospodarskie



ROSÓŁ.

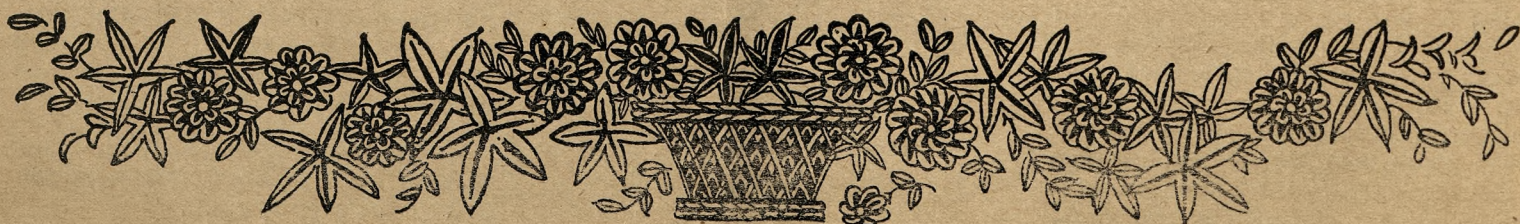
Telefonowała do mnie jedna z czytelniczek „Bluszczu“, że chociażby rada korzystać z przepisów w nim podawanych, jednak uważa, że większość ich jest przeznaczona dla gospodyń już doświadczonych jako powiększenie ich jadalospisów, że natomiast jest zupełny brak potraw codziennych, podstawowych, na przykład nie spotkała nigdy rosółu, którego ugotować wcale nie potrafi, służąca zaś jej robi rosół bardzo kosztowny, i bardzo niesmaczny. Zrobienie dobrego, smacznego, klarownego rosółu wymaga dużej staranności — to pewne, co zaś do kosztowności, to, o ile weźmiemy nań dobry kawał mięsa, który następnie zostanie podany jako sztuka mięsa, to nie będzie on kosztowniejszy od każdej innej zupy. Pod jednym względem będzie on zawsze kosztowny: gotuje się on długo, więc zużywa dużo czasu i opału. Z obu tych czynników, w mieście szczególnie, poważnie się liczyć należy. Francuzi, których klasyczny pot au-feu jest rzeczywiście wyborny, gotują go (mówię oczywiście o klasie pracującej, odpowiedniej co do środków do naszej pracującej inteligencji) raz na tydzień, przeważnie lub na niedzielę, poczem przechowują go umiejętnie przez dni parę jeszcze, oszczędzając czasu na gotowanie zup, zawsze zabierających największy czas. Aby rosół był dobry, esencjonalny, aromatyczny i klarowny, należy go zagotować z początku na wielkim, potem na małym ogniu. Gotuje się go najlepiej w kamiennym, polewanym garnku; przy staranności jednak doskonałe rosóły otrzymać można, gotując je w miedzianych, dobrze pobielanych, rondlach, w aluminiowych a nawet najpospolitszych emalowanych garnkach. Na pięć do sześciu osób należy wziąć 3 — 3½ funta

(około półtora kilo mięsa od krzyżowej, zrazowej, łopaty i mostka lub szpondru, ponieważ w Warszawie prynajmniej, dokładka jest złem nieuniknionem, należy uważać, aby na taką dokładkę dano kostkę ogonową lub tak zwaną kruchą; rura daje zbyt dużo pozłoty, a kości żebrów, rozbełowe nie nadają się wcale; najgorsze zaś ze wszystkich są kości z mleczem pacierzowym, które rosół zupełnie zamacają. Mięso obmyte, lecz nie moczone, włożyć w garnek i zalać czterema litrami zimnej wody. Zagotować na silnym ogniu, włożyć jedną dużą marchew, jedną średnią pietruszkę, ½ selera, pół pora, jedną rozkrawianą na pół i przyrumienioną na blasze cebulę, nie obierając jej z wierzchniej skórki, która rosółowi złocistego koloru nadaje, parę ziarenek pieprzu, ziela, pół listka, parę gałązek świeżego lub suszonego koperku. Zszumować starannie, posolić lekko, gdyż przy wygotowywaniu rosółu staje się on coraz słodszy. Gdy piana przestaje się pokazywać na powierzchni, wlać szklankę zimnej wody, przez co pozostałe męty na dno osiadają.

Nigdy rosółu nie cedzić ani przelewać, powinien sam być klarowny, jeżeli go starannie gotować. Przesunąć na brzeg blachy, gotować na wolniuchnym ogniu, aż mięso zmięknie, a rosół się wygotuje do trzech litrów.

Gdyby rosół się nadto wygotował, dolać go zimną wodą, a nie gorącą, jak to czynią kucharki, przez co smak rosółu się psuje i nabiera on zapachu ściereki, zagotować ponownie i podawać z różnymi dodatkami. Przy starannym doglądzie i mięsie z młodej sztuki dwie godziny od chwili zagotowania wystarcza na ugotowanie dobrego rosółu; gdy mięso jest ze starej sztuki, trzeba trzy do trzech i pół godzin na taką operację.

W zimie równie dobrym, a ku wiośnie stanowczo lepszym jest rosół gotowany z suszonymi jarzynami i włoszczyzną, gdyż te ostatnie, leżąc w piwnicy, nabierają przykrego zapachu pleśni i ziemi. Łut suchej włoszczyzny starczy na wyżej podaną ilość rosółu. Chcąc taki rosół podać z jarzynkami, należy w oddzielnym rondlu ugotować sparzoną i pokrawianą na ćwiartki głów-



kę fryzowanej lub białej kapusty, kilka pokrajanych karotek, groszku zielonego w ziarnach lub łupinkach, szparagów, kalafiorów, podzielonych na kwiatki, fasolki zielonej lub szparagowej, młodej kalarepki, brukselki, jakie jarzyny mamy pod ręką, wszystko zalane gotowanym rosółem. Gdy jarzyny już miękkie, układa się kilka pokrajanych w talarki lub kostkę kartofli, gotuje aż zmiękną, uważając, aby się nie rozgotowały, gdyż niema nic mniej apetycznego, niż kartofle rozgotowane na papkę i rosół niemi zamącony. Przed podaniem wsypać do wazy szczyptę drobno usiekanego koperku lub pietruszeczki.

Znane bardziej pospolite sposoby podawania rosółu są: rosół z klusieczkami krajanymi, z makaronem, wermiszlem lub kluskami kupnemi, z kluskami parzonymi, z kluskami francuskimi, z ptysiami, z ryżem, z sago lub tapioką, z kaszką drobną, zasypaną do rosółu, lub też z kaszką, krajaną w kostkę.

Francuzi wszystkie jarzyny, ugotowane na rosół, wyjmują w całość i okładają niemi sztukę mięsa, podawaną w całość i krajaną dopiero przy stole. U nas sztukę mięsa podaje się przeważnie z różnymi sosami, kraje się więc ją w kuchni. Dobry, mocny rosół najlepiej smakuje zupełnie czysty i b z włożeniem w talerz jajkiem pasztetowym czy w koszulce; oddzielnie zaś można podać doń wszelkiego rodzaju paszteciki i grzanki.

KONFITURY Z RAJSKICH JABŁUSZEK.

Są dwa gatunki drobnych jabłuszek konfiturowych. Jedne drobne bardzo, żółte jakby woskowe, po winno się nazywać właściwie syberyjskimi, gdyż z tego kraju pochodzą; są one tak małe, że właściwie się składają ze skórki i ziarnka. Właściwe jabłuszka rajskie są nieco większe, mają krótszą szypułkę, są w stosunku do swego rozmiaru bardzo mięsiste, są mocno różowe, nawet czerwone, z ładnie białym boczkiem; konfitura z nich jest i ładna, i bardzo smaczna. Jabłuszka gęsto ponakłuwać drewnianą szpilką lub kościanym widelcem i zaraz wrzucać w zimną wodę. Na kilo jabłuszek dwa kilo cukru. Z połowy zrobić ulep, biorąc na kilo cukru szklankę i pół wody, zimnym ulepem zalać osączone z wody i ułożone w misie jabłuszka. Po dwunastu godzinach ulep zlać, dodać połowę pozostałego cukru, zagotować i już nieco leśnim zalać jabłuszka. Po następnych dwunastu godzinach powtórzyć to samo, dodając resztę cukru do go-

raczego ulepu, włożyć jabłuszka i dać w nim ostygnąć. Po dwudziestu czterech godzinach syrop scedzić zagotować, włożyć powtórnie jabłuszka i smażyć na bardzo wolnym ogniu, odstawiając co dziesięć minut na pięć minut, a to w celu aby owoce napiły się lepiej syropu.

Kto lubi, może włożyć do syropu kawałek wanilii lub nieco skórki cytrynowej.

Gdy syrop zgęstnieje, a jabłuszka się staną tak przezroczyste, że będzie w nich widać pestki, dodać na każde kilo konfitur jedną pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, odstawić, zastudzić dobrze i przełożyć zimne w słoiki, które, jak zawsze, pozawiazywać pergaminem.

GRZYBY PRAWDZIWE, KONSERWOWANE W MASŁE.

Same czapeczki młodych, jędrnych borowików obetrzeć z mchu i kurzu czystą ściereczką, nie używając wcale wody do ich oczyszczania. Rozpuścić sporo masła, włożyć w nie grzyby, nieco osolić (lub też brać masło dobrze już osolone) i smażyć, mieszając, tak długo, aż sok, jaki grzyby z siebie puszcza, zupełnie się wysmaży i masło zupełnie czyste pozostanie.

Grzyby jeszcze ciepłe układać, jak rosną, w nieduże słoiki (jak na jeden raz do użycia), mocno je uciskając, aby pustego miejsca między niemi nie pozostało, gdy już dobrze zastygną, zalać je masłem, w którym się smażyły. Zastudzić masło jaknajlepiej, a wierzch zalać roztopionym baranym łojem. Gdy i łój zastygnie zupełnie, zawiązać pęcherzem, pod który położyć czystą, suchą szmatkę płócienną; przechowywać w suchym, chłodnym miejscu. Całą zimę są zupełnie jak świeże a tak są trwałe, że w 1919 roku jadłam grzyby, zakonserwowane w 1915 roku i jakimś cudem pozostawione w ograbionem przez bolszewików mieszkaniu; tylko wierzchnią warstwę masła trzeba było odrzucić, same grzyby były wyborne. Łój, oczywiście, przed użyciem się odrzuca, chroni on tylko od dostępu powietrza.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Ramę złoconą, popstrzoną przez muchy, zwilża się octem winnym, opłókuje po kilku minutach zimną wodą i suszy w umiarkowanym cieple. Na ramach złoconych polerowanych można brud ścierać skórą z czerstwego chleba.

Popstrzone przez muchy przedmioty czyszczą się doskonale sokiem z cebuli, utartej na tarce i wyciśniętej przez muslin. Można nim usuwać plamy nawet z olejno malowanych obrazów.

Korespondencje działu praktycznego

p. Zofii K-iej.

Rośliny, wysadzone na powietrzu bez doniczek, nie powinny pozostawać na grządkach aż do ostatniej chwili. Trzeba je powsadzać do donic o tyle wcześniej, żeby miały jeszcze czas puścić w nich korzenie. Robi się to więc w początkach września.

Przy wyjmowaniu należy o ile możliwości uszanować bryłę korzeniową, potem ostrożnie zmniejszyć rękami bryłę tak, żeby ziemia odpadła, a korzenie nie zostały uszkodzone i zwieszały się długimi motkami.

Świeżo powsadzane rośliny ustawa się w cieniu drzewa lub ściany. Tu pozostają przez tydzień lub dwa, poczem się je przenosi do pokoju.

„Veritas“.

Śledzie pocztowe są to śledzie, łowione w Holandji w czerwcu i znacznie delikatniejsze od jesiennych, dlatego uważane są za najlepsze.

Picklingi nie mają ze śledziami nic wspólnego. Jada się je wędzone; przypominają skumbrję.

Gospośi.

Rondle, z których zaczęła schodzić cynowa powłoka, trzeba zaraz dawać do pobielenia. W mieście przychodzi to z łatwością, ale na wsi, gdzie trudno znaleźć odpowiedniego rzemieślnika, można pobielić rondle w domu w sposób następujący: wymyte wewnątrz bardzo mocnym octem i wyszorowane jaknajstaranniej stawia się na rozżarzonych węglach drzewnych i wrzuca w środek kawałek czystej cyny odpowiedni do wielkości rondla.

Skoro cyna zacznie się tonić, trzeba ją posypać salamonjkiem i rozcierać szybko kawałkami węgry lub konopien i pakułami, obracając naczynie na wszystkie strony.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

KRUCZA Nr 31, mieszkanie 3.
Telefon 102-77

Zawiadamia, że po powrocie z Pary a przyjmuje swoje pacjentki.

Niedoświadczonej.

Chcąc ładnie usmażyć mięso lub rybę, trzeba je wrzucić na wrzący i silnie zrumieniony tłuszcz, który posiada wysoką temperaturę i od razu ścinając powierzchnię mięsa, nie dopuszcza, żeby sok z niego wypłynął.

Przewidując.

Śluszenie niepokoi się Pani o dzieci, przebywając w miejscowości, dotkniętej epidemią szkarlatyny. Jest to straszna choroba o zarazku bardzo lotnym, tem samem łatwo udzielającym się nawet przez dotknięcie przedmiotów, które chory miał w ręku. Dlatego też wszelka z nim styczność powinna być bezwzględnie przerwana; zdrowi powinni myć często ręce, usta płókać wodą utlenioną (łyżkę stołową na szklankę przegotowanej wody). Najgorsze, że trudno radzić wyjazd, nie będąc pewnym, czy które z dzieci nie jest już zarażone szkarlatyną — bo i jemu zaszkodzić można, i zarazę rozszerzyć.

Pani Z. K. w Wadowicach.

O ile Pani nie posiada innej kury z małemi, mniej więcej w tym samym wieku, kurczętami, do której możnaby na noc dołączyć sieroty, trudna będzie sprawa z wychowaniem ich. Dawniej, kiedy hodowano kapłony, rzecz była łatwa. Chociaż dziś mało gdzie da się zastosować ten sposób, jako bardzo oryginalny dowód praktyczności, przytaczam go. Kapłona przywiązuje się za nogę do stołka w ciemnym pokoju, nie dając mu jedzenia ani picia; na drugi dzień wpuszcza się małe kurczęta i karmi obok niego. Kapłon, sądząc, że to one przynoszą mu pożywienie, przyswaja je do siebie szybko — one zaś, pozbawione matki, tulą się pod jego skrzydła. W dwadzieścia cztery godzin najdalej kapłon tak się przywiązuje do małych, że staje się najczulszą matką.

Redakcja „Bluszczu” odpowiada stałym Czytelnikom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno, a wobec wielkiego napływu listów, nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu”.

Opis sukien i robót do Nr. 37

704. Kostjum z sukna ciemno zielonego. Spódnica i dół żakietu plisowane. Na patkach guziki szyldkretowe.

705. Kostjum z angielskiego materiału szaro-zielonego w pasy lekko malinowe. Przybrany aksamitem tegoż koloru.

706. Suknia taftowa koloru szmaragdowego.

707. Kostjum spacerowy koloru kasztanowego. Wyłogi w jaśniejszym tonie. Guziki z masy perłowej bardzo ciemne.

708. Kostjum sukieny granatowy. Wyłogi z rysu tegoż koloru. Guziki szyldkretowe.

709. Kostjum z grubej wełny, przerabianej w kolorowe pasy. Guziki fantazyjne.

710. Paltó z sukienka koloru kreciego z szalem wiązany.

711. Kostjum szary sukieny z naszywaniami plisami z tego samego materiału. Guziki rogowe ciemno popielate.

712. Kapelusz filcowy brązowy, przybrany kokardą z jaśniejszej wstążki.

713. Kapelusz filcowy w dwóch cieniach, ciclamen z fantazją z piór w jaśniejszym tonie.

714. Kapelusz z aksamitu koloru chabrowego wymarszczany, przybrany puklami wstążek.

715. Ubranie dla chłopca od 6 do 8 lat z granatowego rysu wełnianego

716. Fartuszek dla dziewczynki od 4 do 6 lat z satyny białej w ponsowe paski, przybrany gładką ponsową satyną.

717. Ubranko dla chłopczyka od 3 do 5 lat z niebieskiej flaneli, naszyte kolorową taśmą.

718. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 6 z kremowej lekkiej wełny, przybrane taśmą jedwabną w ponsowe paski.

719. Fartuszek dla dziewczynki od lat 5 do 7 z barwnej satyny.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

720. 721. 722. 723. Narożniki do jaśków Merezka i haft angielski.

724. Wzór na serwetkę. Haft richelieu. Wielkość naturalna 46×32 ctm.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: paltó lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

LABORATOIRE DES PARFUMS
ET COSMETIQUES

„PERFECTION“

Varsovie, Szpitalna 10.

Tel. 124-94.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Zofji K. Jeżeli woda twarda, to twarzy myć nie można. Trzeba wodę zmiękczyć, dodając łyżeczkę LA MOLLETTE na 1½ — 2 litry wody przegotowanej. Myć twarz nie mydłem, ale OTRĄBKAMI ABARIDOWEMI w letniej wodzie, i na noc wcierać odrobinę KREMU ABARIDOWEGO Ręczę, że po użyciu stałem tych środków, cerę doprowadzi Pani szybko do porządku i pozbędzie się pryszczy oraz łuszczenia się skóry. KREM ABARIDOWY ma jeszcze tę dodatnią własność, że przy stałym użyciu odżywia tkankę, przez co rozprowadza zmarszczki i zapobiega tworzeniu się nowych, nadając twarzy świeży, młodzieńczy wygląd.

Ciemnej. PUDER ABARID wyrabia się w kolorze bardzo ciemnym pod nazwą ROMEO. Jeżeli się okaże za ciemny, to rozjaśnić go można mieszając z białym. Jest to puder zupełnie nieszkodliwy i nie psujący cery, śmiało więc go Pani polecam.

M-me Ercedes

Środki tu wymienione nabywać można w pierwszorzędnym perfumerjach i drogerjach. Skład główny: Warszawa, Szpitalna 10, perfumerja „Perfection”.

NAJLEPSZYM i najhigieniczniejszym środkiem do racjonalnego pielęgnowania włosów jest Doktor Lustra Shampoo-Miraculum.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



WARSZAWA

12 WRZEŚNIA 1925 r.

Szkoła Instruktorów Harcerstwa

Jak donosiliśmy już, dzięki ofiarności drużyny O. Małkowskiej, powstała bardzo poważna placówka harcerstwa żeńskiego w Sromowcach Wyższych w Małopolsce. W bardzo pięknej miejscowości nad Dunajcem, w Pieninach drużna Małkowska ofiarowała dom oraz zapewniła utrzymanie pierwszej w Polsce szkole instruktorów harcerskich.

W dn. 23 sierpnia r. b. odbyło się poświęcenie szkoły! W uroczystości wzięło udział przeszło 300 osób, harcerki i harcerzy, oraz okolicznego górskiego ludu w malowniczych strojach miejscowych. Obecni byli przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych, delegacje chorągwi harcerskich, obóz międzynarodowy i wielu zaproszonych gości. Poświęcenia szkoły dokonał proboszcz miejscowy, ks. Kosiłowicz. Imieniem władz naczelnych Zw. Harcerstwa i ogółu instruktorów, przemawiała drużna Marja Wocławska, dziękując drużnie Małkowskiej za jej twórczy i ofiarny czyn!

Po uroczystości odbyły się śpiewy i popisy drużyn. Drużyna nowotarska w kostjumach góralskich odtąńczyła „Zbójnickiego”, „ku podziwowi zagranicznych gości. Wieczorem odbyło się wspólne „Ognisko”.

Z życia stowarzyszeń

— Berło dla Matki Boskiej. Komitet Wykonawczy Zbierania Ofiar na Berło dla Matki Boskiej Częstochowskiej, złożony z przedstawicieli kilku stowarzyszeń, komunikuje;

Berło jest skończone. Wykonała je bardzo artystycznie firma B-ci Łopieńskich.

Dzięki napływającym zewsząd drobnym ofiarom, kosztą zostały całkowicie pokryte.

Po porozumieniu z Ojcem Przerem Paulinów na Jasnej Górze, obraną została dla złożenia Berła data 3-go maja 1926 r. Na dzień ten wyruszą do Częstochowy pielgrzymki ze wszystkich stron kraju. Zapisy do uczestnictwa w pielgrzymkach Komitet przyjmować będzie w Stowarzyszeniu Ziemiaków (Marszałkowska 149), w Kole Pracy kobiet (Kedytowa 16), w Narodowej Organizacji Kobiet (Nowy Świat 34), w Związku Kobiet Katolickich (Krakowskie Przedmieście 36).

— Wydział Kobiet Związku Nar. Polskiego w Ameryce. Związek Nar. Polski w Ameryce liczy 60 tysięcy członków. Są one złączone w grupy specjalnie żeńskie, lub mieszane, stosownie do miejscowych warunków. Mają osobny Zarząd, złożony z 15 członków, t. zw. Wydział Kobiet. Przewodniczącą jest p. Milewska, która w ubiegłym miesiącu z wyprawą Sokołów polskich z Ameryki, odwiedziła Warszawę.

Organizacje kobiece Związku zajmują się tworzeniem szkół bibliotek, odczytów, biorą udział w posiedzeniach Sejmu Związkowego, bronią społeczność polską w Ameryce przed wynarodowieniem. Całość organizacji Związku jest bardzo silną materialnie. Majątek Związku wynosi 10 milionów dolarów.

— Poznański „Związek Kobiet pracujących” zorganizował kursy cukrownictwa dla kobiet. Umiejętność fabrykowania 40 gatunków różnych ciast i ciastek zdobędą uczennice tego kursu.



Praca kobiet na wyższych uczelniach we Lwowie

(Korespondencja Biura Prasowego dla spraw kobiecych).

Lwów, 5 września 1925 r.

W ubiegłym roku szkolnym zajęte były na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie w charakterze pomocniczych sił naukowych:

W bibliotece uniwersyteckiej, jako bibliotekarze naukowcy: dr. Zofja Krystyna Wisłocka-Remerowa i dr. Anna Jędrzejowska.

Na wydziale medycznym:

W Zakładzie histologiczno-embriologicznym: preparatorka Zofja Kalwaryjska.

W Zakładzie fizjologicznym: demonstratorka, absolwentka med. Janina Śnieżkówna.

W Zakładzie chemii lekarskiej: asystentka starsza dr. Wanda Janowska.

W Zakładzie anatomii patologicznej: adjunkt dr. Helena Schusterówna. Preparatorki: Stefania Stankiewiczówna i Zofja Godzielińska.

W Zakładzie medycyny sądowej: asystentka starsza dr. Jadwiga Śnieżek-Szulisławska.

W Zakładzie higieny: asyst. st. dr. Wanda Rypuszyńska. Rysozniczka i preparatorka: Elżbieta Schusterówna.

Na klinice chorób wewn.: asyst. st. dr. Zofja Czeżowska.

Na klinice okulistycznej: asyst. st. dr. Janina Mikulińska.

Na klinice położniczo-ginekologicznej: asyst. st. Henryka Sawicka i Teresa H. Merówna.

Na klinice chorób dziecięcych: demonstratorka Zofja Maternowska. Instruktor i siostra naczelną: Amanda Sedlak-Brich-

ta. Pielęgniarka: Ludwika Hasia-
kówna.

Na poliklinice chorób nerwo-
wych i umysłowych: asyst. starsza
dr. Marja Demianowska.

Na poliklinice chorób usznych
i gardłanych: asyst. st. dr. Marja
Krygowska.

W Zakładzie dentystycznym: 1 la-
borantka, 1 książkowa, 1 pomocni-
ca dentystyczna.

W Zakładzie biologicznym: asyst.
st. dr. Karolina Reisowa. Ryso-
wiczka Anna Herzig. 2 labo-
rantki.

Ponadto na wydziale medycz-
nym 4 woźne.

Na wydziale filozoficznym:

W seminarjum filozoficznym: asyst.
młodsza abs. fil. Helena Sło-
niewska.

W seminarjum historii powszech-
nej nowożytności: asyst. st. dr. Jadwiga
Lechicka.

W seminarjum historii powszech-
nej średniowiecza: asyst. st. dr.
Łucja Charewiczowa.

W seminarjum historii społecz-
nej i gospodarczej: asyst. mł. abs.
fil. Jadwiga Turska.

W Zakładzie archeologii klasycz-
nej: asyst. st. dr. Janina Oro-
szówna.

W Zakładzie muzykologicznym:
asyst. st. dr. Bronisława Wójci-
kówna.

W Zakładzie fizycznym: demon-
stratorka Jadwiga Klonowiecka.

W seminarjum fizyki teoretycz-
nej: asyst. młodsza absolwentka
fil. Zofja Krzysikówna.

W Zakładzie chemicznym I.: asyst.
st. dr. Emilja Lewicka.

W Zakładzie geologicznym: asyst.
st. Marja Styrnałówna.

W Zakładzie biologiczno-bota-
nicznym: asyst. mł. abs. fil. Hele-
na Grośówna.

Urzędniczek kancelaryjne:

W kancelarii Uniwersytetu 6.

W kwesturze 2.

W kancelariach dziekanatów 5.

W roku 1923/24 zapisanych by-
ło słuchaczek:

Trymestr I i II	
Słuch. zwyczaj.	Słuch. wolne
Prawo 94	3
Medycyna 179	1
Filozofja 1126	145
Razem 1399	149

Trymestr III

Słuch. zwyczaj.	Słuch. wolne
Prawo 93	3
Medycyna 167	1
Filozofja 1045	119
Razem 1305	123

Na Politechnice.

Urzędniczek kancelaryjne:

W sekretarjacie 3.

W kwesturze 2.

W kancelariach dziekanatów 4.

Na wydziale komunika-
cyjnym:

Przy katedrze fizyki: adjunkt dr.
Elżbieta Rubinowiczowa.

Przy katedrze geologii i paleon-
tologii: asyst. starsza dr. Janina
Syniewska.

Na wydziale chemicznym:

Przy katedrze botaniki i towaro-
znawstwa: asyst. starsza dr. Marja
Matlakówna.

Przy katedrze technologii che-
micznej elektro-chemii technicz-
nej: asyst. st. inż. Marja Fiedle-
równa.

Na wydziale
rolniczo-leśnym:

W Zakładzie hodowli roślin: asyst.
st. inż. roln. Emilja Maleczyń-
ska.

Przy katedrze zoologii i anatom-
ji: asyst. mł. Stanisława Wasi-
lewska.

Przy katedrze uprawy roli i ro-
ślin: asyst. mł. Wanda Kulikow-
ska.

Na wydziale ogólnym:

Rektorat języka francuskiego: dr.
Janina Lehnertowa.

Otrzymały stopień inżyniera ar-
chitekty—Irena Obmińska, in-
żyniera-chemika—Janina Krau-
sówna; inżyniera-rolnika—Zofja
Ajdukiewiczówna, Helena
Domańska, Marja Giedroyc,
Emilja Gromnicka, Emilja Ma-
leczyńska, Anna Maurizio.

W roku 1923/4 zapisanych było
słuchaczek:

Półrocze letnie

słuch. zwyczaj.	słuch. wolne
Komunikacyjny . . 4	
Architektoniczny . 17	
Mechaniczny . . . 5	
Chemiczny 36	
Rolniczo-leśny . . . 14	5
Ogólny 1	
Razem 77	5

Półrocze zimowe

słuch. zwyczaj.	słuch. wolne
Komunikacyjny . . 3	
Architektoniczny . 17	
Mechaniczny . . . 3	
Chemiczny 34	3
Rolniczo-leśny . . . 13	
Ogólny 4	2
Razem 77	5

ż.

Szkoły Zawodowe

— Z zestawienia Kurjera Polskie-
go (№ szkolny) okazuje się, że
w Polsce istnieje 165 szkół zawo-
dowych żeńskich o 250 oddziałach,
oraz 4 seminarja, przygotowujące
nauczycielki do szkół zawodowych.
W szkołach tych kształci się prze-
szło 10 tysięcy dziewcząt. Poza
tem dziewczęta mają dostęp i do
niektórych innych szkół zawodo-
wych.

— Dowiadujemy się, że na rok
bieżący projektowane jest upań-
stwienie szkoły zawodowej im. Św.
Józefa w Wilnie, oraz otwarcie
dwu nowych pań. szkół zawodowych
żeńskich: w Łowiczu i w Białym-
stoku.

— W szkole państwowej zawo-
dowej Spisko orawskiej odbyło się
dn. 10 września otwarcie oddziału
haftu i koronek w Nowym Targu.

W Czarnym Dunajcu Dyrekcja
szkoły otwiera kurs krawiectwa,
w Jabłonce na Orawie—oddział
tkactwa, w Łapszach Wyższych na
Spiszu—oddział bielizniarstwa, ro-
bót kobiecych i gospodarstwa do-
mowego.

— W Państwowej Szkole zawo-
dowej w Lublinie (Zmigród 3) zo-
poczęto nowy rok szkolny. Prócz
obowiązkowego dla wszystkich
działu gospodarstwa domowego
i przedmiotów ogólnie kształcących,
uczenice specjalizują się: w in-
troligatorstwie, bielizniarstwie, kra-
wieczyźnie, lub handlu. Kurs 3 letni.

Kierowniczką szkoły jest p. Sa-
sorska.

Dział handlowy prowadzi p. No-
wotarska. Wykłada ona teorię
oraz prowadzi z uczenicami kan-
tor praktyczny. Jest również opie-
kunką szkolnej drużyny harcer-
skiej.

Gospodarstwo domowe wyklada
p. Czernikówna.

Kierownikiem artystycznym w
działach: introligatorskim, bieliź-
niarskim i krawieckim jest artysta
malarz prof. Janusz Świeży.
Dzięki jego metodzie prowadzenia

uczennic, szkoła Lubelska stoi na najwyższym bodaj poziomie artystycznym ze wszystkich szkół tego typu w Państwie.

W r. ubiegłym uczęszczało do szkoły 150 dziewcząt.

Rozrostowi jej stoi na przeszkodzie jedynie brak odpowiedniego lokalu.

Niema miejsca na najpotrzebniejsze pracownie: prasownię szwalniczą i t. d.

— W Lublinie powstać ma w roku bieżącym 2-ga szkoła zawodowa o niższym poziomie.

Mieścić się będzie przy ul. Chmielnej № 1.

Szkoła posiadać będzie działy: ogrodniczy, bieliźniarski i gospodarstwa domowego. Szkołę organizują lubelskie stowarzyszenia kobiece.

— Magistrat m. Warszawy utrzymuje z funduszy miejskich 3 szkoły zawodowe żeńskie: w Mokotowie przy ul. Dolnej 25, przy ul. Szczęśliwej 6 (Dzielnica Powązek), i na Pradze—Białostocka 1. Szkoły te obejmują działy: bieliźniarstwo, haft, koronkarstwo, krawieczyznę, tkactwo i kilimkarstwo. Kurs tych szkół jest 3 letni, tylko na oddziale krawieczyzny dla otrzymania tytułu mistrzyni kunsztu krawieckiego pracować trzeba 4 lata. Cenzus wymagany: 7 kl. szkoły powszechnej. Opłata za naukę 60 zł. rocznie.

— Dn. 1 października rozpoczynają się poranne kursy ogrodniczo-pszczelnicze przy ul. Wiejskiej 12. Wykłady codziennie od 9 do 3-ej.

— W Miejskiej szkole malarstwa i sztuk zdobniczych w Warszawie przy ul. Chmielnej 52 ustalono opłaty na rok 1925—6: za naukę w szkole dziennej 100 zł. rocznie, na kursach wolnych wieczorowych 12 zł. i na niedzielnych kursach elementarnych 4 zł. rocznie.

Szkoła ta pozostaje pod kierunkiem dyrektora Szczepkowskiego. Cenzus wymagany: 7 klas szkoły powszechnej, albo 4 klasy szkoły średniej. Nadto wymaga się pewnych uzdolnień artystycznych, zwłaszcza do rysunku.

Do szkoły i na kursa uczęszczać mogą mężczyźni i kobiety.

— W szkole żeń. rolniczej w Trzebowie (pod Płockiem) wprowadzono w ciągu ostatnich dwu lat ważne zmiany; Wprawdzie dotychczas szkoła mieści się w małym starannie odrestaurowanym domku, ale tuż obok wznoszą się już mury nowego gmachu szkolnego, zakrojonego na znacznie większą skalę. Mały domek przeznaczony zostanie w przyszłości na mleczarnię, pralnię i natryski. Duże, zaniedbane podwórze zamieniono na ogród wa-

rzywny, szkółkę drzew i krzewów owocowych. Budynki gospodarskie odnowione; na okólniku widać ładne bydło holenderskie, nierogaciznę, stada zielononózek, indyków, kaczek.

W nowym domu czynne są już kuchnie, spiżarnie, składy. Na 13 września naznaczono zakończenie roku szkolnego, poczem rozpocznie się już nowe życie w nowym gmachu.

Kongresy i Zjazdy

— Międzynarodowa, socjalistyczna konferencja kobiet w Marsylii. Dn. 21 sierpnia rozpoczęły się obrady konferencji. Do prezydium powołano panie: Popp (Wiedeń), dr. Marjon Philipps (Anglia), Wiband (Holandia) Kasperlikową (Czechy) Somonceau (Francja), Juchacz (Niemcy) i 6 sekretarek, w tem z Polski p. Kłuszyńską.

Dyskusja obracała się głównie dokoła sprawy powołania do życia Międzynarodowego Komitetu, Kobięcego, wybranego na tych samych zasadach co egzekutywa Międzynarodówki: Dr. Budzińska Tylicka do ogólnej rezolucji zgłosiła poprawki w sprawie ochrony macierzyństwa i ochrony pracy kobiet. P. Kłuszyńska przemawiała za zorganizowaniem stałego Komitetu kobiecego. Dyskusja była bardzo gorąca. Wnioski przesłano Kongresowi socjalistycznemu który, jednocześnie obradował w Marsylii.

— W t. zw. „Tygodniu Społecznym w Lublinie” (Zjazd katolicki) wzięło udział 42 kobiety na 110 mężczyzn.

— Na zjeździe rolniczym w Kozienicach, zwołanym na dzień 23 sierpnia przemawiała p. Wróblewska instruktorka kółek gospodyń wiejskich.

— Na dzień 14 września r. b. zwołany został do Krasienina (pow. Lubartowski) zjazd b. wychowanek szkoły rolniczej w Krasieninie.

— Dn. 20 września r. b. odbędzie się zjazd ogólnokrajowy 7w. zawodowego robotnic i robotników przemysłu tytoniowego. Zjazd odbędzie się w Warszawie w lokalu Związku przy ul. Wareckiej 7.

Odczyty i Wykłady

— Dnia 4 września w stowarzyszeniu młodzieży pracującej w handlu pod nazwą „Samokształcenie” przy ul. Wilczej 66 p. Stefania Bojarska wygłosiła wykład na temat „Historja bibliotek i czy-

teln w czasach dawniejszych i obecnie”. Młodzież żeńska i męska licznie zebrana w skupionej postawie słuchała barwnej opowieści, będącej kartką z dziejów oświaty dorosłych.

— Dnia 5 września w lokalu III Koła Chrześcijańskich Rob. w domu własnym tego stowarzyszenia na Pradze o godz. 8 w. p. Stefania Bojarska miała wykład z nauki obywatelskiej p. t. „Jak powstało i jak jest zorganizowane nowoczesne państwo”. Wśród słuchaczy przeważały kobiety, robotnice i żony rzemieślników. Po wykładzie nastąpiła serdeczna pogawędka; bawiącą w przejeździe prelegentkę zaproszono na opłatek, ponieważ na zaprosiny, częstego odwiedzania koła oświadczyła, że może być u nich dopiero w czasie świąt Bożego Narodzenia.

Kobiety w Polityce

— Marszałek Senatu otrzymał memoriał, opatrzone licznymi podpisami, treści następującej.

„Do Jego Ekscelencji Pana Marszałka Senatu Wojciecha Trąpczyńskiego”.

Panie Marszałku!

Zanim Senat obradować zacznie nad ustawą tak zwanej Reformy Rolnej, nie możemy biernie asystować my, kobiety — polki, gdy świeża groza nad Ojczyzną naszą zawisła, groza bezprawnego i gwałtownego zniszczenia większych warsztatów rolnych, którego następstwem niechybnem będzie zmniejszona wydajność ziemi, zabicie eksportu, głód w miastach.

Dla dobra Ojczyzny naszej, gotowe jesteśmy znieść wszelkie ofiary, rozumiejąc potrzebę zmian w ustroju społecznym.

Jako córki Jej oddane, nigdy nie uchylałyśmy się od wypełnienia obowiązków naszych najświętszych i pracy w tym kierunku. Dziś, jednak, w wyżej wymienionej ustawie dobra kraju naszego nie widzimy — jedynie demagogiczne schlebienie tłumom, zbałamucenym, przekupionym przez wrogów prowodyrami, jedynie hasła do przedwyborczej agitacji, tej zbrodniczej agitacji, która przepaść między nami i ludem wiejskim z dniem każdym pogłębia.

Zwracamy się z błaganem i prośbą do Jego rozumu, patriotyzmu, głębokiego poczucia sprawiedliwości, by p. Marszałek raczył sprawę reformy rolnej rozpatrzyć zgodnie z potrzebami wszystkich obywateli polskich bez faworyzowania jednych na niekorzyść drugich, gdyż nie jątremieniem i nie nienawiścią, lecz

miłością i zgodą Ojczyzna nasza kwitnąć powinna i na tych podstawach jedynie przyszłość Jej zapewniona, potężna i jasna widzimy my, kobiety — polki, które z apelem tym do p. Marszałka się zwracamy, uważając to za nasz święty obowiązek względem Ojczyzny i przyszłych pokoleń naszych dzieci".

D. 23-go sierpnia 1925 r.

Nauka, Sztuka, Literatura

— Na wystawie Miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi, umieszczono 34 obrazy Bronisławy Rychter Jakowskiej.

Zwraca uwagę pejzaż przedstawiający willę i ogród — wszystko w jaskrawych barwach, wykonane aplikacjami z kawałków sukna. Jest to specjalność tej artystki.

Z innych prac, pisma miejscowe podnoszą wysoką wartość obrazów: „Mado na del Mare“, „Ukojenie“, „Pokutnica“, „U stóp Madonny“, oraz cykl wnętrz mieszkań, zacisznych pokoików w dworach szlacheckich i t. d.

— W „Głosie Narodu“ (Kraków) z dn. 1 sierpnia, spotykamy bardzo pochlebna recenzję utworów poetyckich J. Brzostowskiej i Hanny Morłkiewiczówny.

Przegląd Prasy

— Paryskie „Ognisko“ drukuje urywek listu, nadesłanego do tegoż pisma przez Tow. Pracy Społeczno Kulturalnej dla wychodźstwa polskiego we Francji. Urywek ten brzmi:

„...Największe niebezpieczeństwo, które grozi emigracji we Francji, istnieje nie dla mężczyzn, wiodących ciężkie życie w fabrykach, ale dla dziewcząt i młodych kobiet które często opuszczają swoje miejsca, pociągnięte ogłoszeniami obiecującymi znaczne polepszenie losu. Są to obietnice kłamliwe.

Mieliśmy sposobność, niestety, stwierdzić, że wielka ilość tych dziewcząt i kobiet znajduje się w szynkach i w innych niewłaściwych dla nich spelunkach. Udajemy się do dyrekcji dziennika „Ogniska“, bo może uda się jej łatwiej niż nam, wskazać tym biednym kobietom, jakie niebezpieczeństwo i jakie wstrętne błoto kryje się poza tem wzywaniem do opuszczania pracy na roli, ciężkiej

niewątpliwie, ale zdrowszej od służby w szynkach“.

Powyższy list opatrzyła redakcja „Ogniska“ następującą uwagą:

„Podajemy cenne ostrzeżenie, gdyż istotnie między polskimi kobietami, jak zaraza, rozpowszechniła się chęć „lekkiego chleba“, wiodąca, pod pozorem polepszenia sobie losu, do rozpusty, zakończonej nieuniknioną chorobą i stoczeniem się aż na dno nieszczęścia i zguby“.

— W poznańskim „Przeglądzie Porannym“ z dn. 30 i 31 sierpnia p. Marja Jehanne Wielopolska prowadzi żywą polemikę z p. Zofją Zawiszką. Chodzi o umieszczony przez tę ostatnią w „Bluszczu“ artykuł, żądający surowszego wymiaru kary na gwałcieli małych dziewczątek. P. M. J. Wielopolska jest zasadniczą przeciwniczką kary śmierci, i w tym duchu sformułowane są jej zarzuty przeciw wspomnianemu artykułowi. Polemika nosi tytuł „Protest na protest“.

— „Słowo“ wileńskie w № z 29 sierpnia r. b. p. t. „Hołd kobiecie“ kreśli niezwykłą, bądź co bądź, sylwetkę byleż cesarzowej Zyty, na podstawie wydanej świeżo książki p. Werckmana, o tatnięgo sekretarza cesarza Karola. „Gdyby królowa Zyta żyła w XII, XIII wieku — kończy autor, artykułu — poeci wędrowni śpiewaliby o młodej pani, matce ośmiorga malutkich, pięknych dzieci, która z mężem swoim dzieli trudy, niebezpieczeństwa, i odprowadza trumne jego na dalekiem wygnaniu“. Ale dziś nie moda śpiewać pieśni o zwyciężonych...

— Zeszyt VI ilustrowanego miesięcznika „Sztuka w Rzemiośle“, zamieszcza ciekawe studjum Emilji Szenwiczowej „Rodzina Fantomich“.

Kronika życia kobiecego

— Zakazy pracy. W związku z rozporządzeniem wykonawczem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w sprawie stosowania Ustawy o ochronie pracy kobiet i młodocianych, Inspektorat Pracy ma w najbliższym czasie przeprowadzić inspekcję tych przedsiębiorstw, w których praca szczególnie ujemnie wpływa na stan zdrowia pracowników. Między innem nie mają prawa pracować młodociani i kobiety w następujących zakładach: w ka-

mieniarniach, cegielniach, hutach szklanych; jako obsługa przy transmisjach, kotłach parowych i silnikach oraz piłach tarczowych. W piarniach i garbarniach mogą pracować kobiety — młodociane.

— Urzędniczkii kolejowe, a małżeństwo. Jak słychać, Min. kolei wydało rozporządzenie, mocą którego urzędniczkii kolejowe mogą zawierać związki małżeńskie tylko za zezwoleniem tegoż Ministerjum.

Z drugiej strony dowiadujemy się, że Min. niechętnie i w wyjątkowych wypadkach udziela tych zezwoleń, pozostawiając w zasadzie podobne prośby bez odpowiedzi.

Urzędniczka, zaś która wjdzie za mąż, nie w myśl obowiązujących zarządzeń, traci zajmowane stanowisko.

— Z Płocka dochodzą wieści o zapotrzebowaniu tam lekarza kobiety. Płock ma jedną tylko lekarkę dr. Żółtowską, która zajmuje się prawie specjalnie dentystyką. Setki młodzieży żeńskiej w szkołach, w Seminarjum, całe zastępy kobiet, które chętniej szukałyby rady u kobiety niż u mężczyzny, oczekują czy nie znajdzie się jakaś młoda siła kobieca, która zajmie wakuującą dotąd placówkę.

— Dowodem lekceważenia szkolnictwa żeńskiego, jest stan Państwowego gimnazjum Unji Lubelskiej w Lublinie. Ze względu na brak lokalu nie można otworzyć w niem niższych klas, poczynawszy od 1szej.

Skutkiem tego córki urzędników państwowych, rzemieślników i robotników nie mogą korzystać z dobrodziejstw oświaty.

— Rząd Stanów Zjednoczonych mianował konsulem amerykańskim w Amsterdamie pannę Pattie Field.

Odznaczenia

— Złoty Krzyż Zasługi otrzymała podczas pobytu swego w Warszawie p. M. Milewska, przewodnicząca Wydziału Kobiet Związku Nar. polskiego w Ameryce.

— Dn. 1 b. m. odbyła się w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej uroczystość udekorowania orderami Odrodzenia Polski Siostry Róży Czackiej za jej pracę dla niewidomych, Siostry Matyldy Getter, przełożonej „Rodziny Marji“, oraz współpracowniczki „Bluszczu“, p. Cecylii Walewskiej za pracę społeczną.